MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 22. WARSZAWA, 1 CZERWCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA, NIEMCY I PANEUROPA

OPINJA publiczna w Polsce powinna się żywo zainteresować zagadnieniem Związku Federacyjnego Europy, postawionem na porządku dziennym przez p. Brianda przez rozesłanie w dn. 17 maja memorandum do rządów 26 państw europejskich, należących do Ligi Narodów. Zainteresowanie to wszakże będzie pożyteczne i skuteczne, jeśli pobudzi do myślenia przy zastosowaniu właściwej metody. Byłoby rzeczą zgoła jałową rozważanie w sposób abstrakcyjny, metodą abstrakcyjną zalet lub wad utworzenia związku europejskiego i zastanawianie się, jaką rolę może on odegrać w postępie ludzkości na drodze do wiecznego pokoju i powszechnej szczęśliwości. Dzieje Ligi Narodów nauczyły już nas, że zarówno hasła ogólnoludzkie, jak i instytucje na tych hasłach zbudowane są w dzisiejszym — ułomnym i pełnym grzechu świecie — wyzyskiwane przez ludzi i narody do urzeczywistniania swych egoistycznych i doczesnych celów. W jeszcze większym stopniu będzie to miało miejsce w przyszłym Związku europejskim. Może on się stać miejscem załatwiania różnych spraw mniejszego znaczenia, oddziałem Ligi z własnym sekretarjatem do regulowania drugorzędnych spraw międzynarodowych, lecz wtedy nie warto mu poświęcać zbyt wiele uwagi. Może jednak być wyzyskany przez państwa europejskie na terenie politycznym, być zużytym do realnych i aktualnych celów politycznych. Jeśli zaś tak się stanie — a na to się zanosi — to byłoby wielkim błędem ze strony polityki polskiej ustosunkowanie się bierne, lub powierzchowne i formalistyczne do projektu, wysuniętego przez p. Brianda, działającego w roli kierownika polityki zagranicznej Francji.

Kancelarje dyplomatyczne są dziś obowiązane do używania w swych elaboratach języka, wyrobionego w ciągu ostatniego dziesięciolecia w Genewie. Muszą się powoływać na interesy powszechne, na solidarność międzynarodową i europejską, na pracę dla pokoju i t. p., ukrywając pod temi zwrotami retorycznemi istotę rzeczy i rzeczywiste swe stanowisko. Publicysta korzysta — chwała Bogu — z pełnej swobody, może nazywać rzeczy po imieniu i porozumiewać się z czytelnikiem językiem codziennym, ścisłym i powszechnie zrozumiałym. Pisząc tedy na użytek wewnętrzny, a nie dla czytelnika obcego, reprezentując li tylko siebie, a nie instytucję urzędową, możemy wypowiedzieć jasno i wyraźnie całkowitą myśl swoją.

Z tego sądząc stanowiska pomysł Związku europejskiego, trzeba stwierdzić, że odrazu rozpoczęły się dążenia, zmierzające do tego, by myśl powołania do życia takiego Związku zużytkować w bieżącej walce politycznej.

Europa ma wprawdzie swoje wspólne i powszechne interesy, wynikające ze wspólnej tysiącletniej przeszłości dziejowej i z konieczności obrony zdobytego w ciągu dziejów dominującego stanowiska w świecie. Wobec rozwoju Stanów Zjednoczonych i innych państw amerykańskich, wobec emancypacji ludów Azji i Afryki stan posiadania

narodów europejskich jest zagrożony, a dorobek kulturalny i cywilizacyjny Europy wymaga ochrony. Narzuca się tedy konieczność współdziałania państw europejskich. Lecz to współdziałanie musiałoby być oparte na innych zasadach i skierowane przeciw komuś, jak zresztą były zawsze i będą wszelkie porozumienia i sojusze między państwami. Takie pojmowanie zagadnienia jest jednak bezwzględnie sprzeczne z duchem „genewskim", zastrzega się też wyraźnie przeciwko niemu p. Briand w swem memorandum.

Zresztą realne współdziałanie polityczne państw europejskich wymagałoby jakiego takiego przynajmniej ułożenia stosunków między niemi. Tymczasem przeszłość przekazała nam tyle głębokich sprzeczności i tyle zasadniczych konfliktów, że trudne zaiste w chwili obecnej myśleć o istotnem współdziałaniu. Po wielkiej wojnie państwa europejskie dzielą się na dwa obozy, mające sprzeczne i wzajemnie wykluczające się dążenia.

Narody zwycięskie chcą utrzymać i utrwalić wytworzony przez wojnę układ stosunków i granice; narody zwyciężone dążą za wszelką cenę do obalenia traktatów z roku 1919 i przywrócenia stanu przedwojennego w Europie. Na czele narodów zwyciężonych stoją Niemcy, które za główne zadanie swej polityki uważają obalenie postanowień terytorjalnych Traktatu wersalskiego i nietylko przywrócenie granic przedwojennych, lecz zjednoczenie ziem zamieszkałych przez Niemców. Pierwsze godzi w istnienie Polski, drugie w interesy wszystkich państw Europy środkowo-wschodniej. Interesy państw zwycięskich, lub korzystających ze zwycięstwa reprezentuje dotychczas przedewszystkiem Francja, z tej prostej przyczyny, że po osiągnięciu swych celów na wschodzie i opanowaniu Europy środkowo-wschodniej musiałyby się Niemcy rzucić ponownie na Francję.

Jest rzeczą jasną, że powołanie do życia Związku europejskiego może służyć równie dobrze utrwalenie obecnego układu europejskiego, jak i jego gruntownemu przekształceniu.

Bo jedni będą twierdzili, że koniecznym warunkiem lojalnego współdziałania państw europejskich jest poczucie bezpieczeństwa, że przeto Związek europejski musi się opierać na uroczystej wzajemnej gwarancji obecnego stanu posiadania. Na tem stanowisku stoi p. Briand w swem memorandum, mówiąc o „rozwoju systemu arbitrażu i bezpieczeństwa oraz o rozciągnięciu na wszystkie społeczności europejskie polityki gwarancyj międzynarodowych, zapoczątkowanej w Locarno"...

Z dotychczasowych głosów prasy niemieckiej wynika z całą oczywistością, że zgoła inne jest stanowisko Niemiec. Publicyści niemieccy sądzą, że pierwszym warunkiem współdziałania państw europejskich jest usunięcie konfliktów między niemi przez wyrównanie istniejących sporów, przez naprawienie „niesprawiedliwości", wyrządzonych przez traktaty r. 1919. Jakiż to stan chce utrwalić p. Briand w Europie? zapytuje Józef Schwob w piśmie „*Berliner Tageblatt*" i tak odpowiada: „Stan obecnej nierówności w zbrojeniach, niewykonanych przyrzeczeń rozbrojeniowych oraz politycznie i gospodarczo niemożliwych granic"... Podobną opinję wypowiadają wszystkie pisma niemieckie, począwszy od „*Deutsche Allgemeine Zeitung*" a kończąc na socjalistycznym „*Vorwats*'ie". Rzecz jest jasna: warunkiem współdziałania państw europejskich jest— w opinji niemieckiej — rozbiór Polski, a Związek europejski ma być narzędziem do wykonania tego zbożnego dzieła.

Jak widzimy z powyższego, istnieje nieprzebyta przepaść między pojmowaniem podstaw i zadań Związku europejskiego przez Francję i Niemcy. Przepaść tę możnaby wypełnić jedynie przez niejasne ustalenie zasad tego Związku i niejasne sformułowanie jego celów. Otóż w tem właśnie tkwi największe niebezpieczeństwo całego przedsięwzięcia z punktu widzenia polskiego.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że w dzisiejszych stosunkach politycznych Polska musi wyrazić zasadniczą zgodę na projekt Związku europejskiego, bo inaczej byłaby ogłoszona za wroga ludzkości i pokoju; lecz obowiązkiem rządu polskiego musi być jasne, ścisłe, stanowcze sformułowanie warunków, od których Państwo Polskie będzie uzależniało swe przystąpienie do Związku. Wśród tych warunków są dwa, co do których nie może być żadnych niejasności, ani żadnych kompromisów: 1) wzajemna gwarancja przez państwa, należące do Związku, ich obecnych granic i 2) zupełna równość państw w przyszłym Związku.

W ciągu dziesięciu lat istnienia Ligi wyrobiły się sposoby takiego formułowania zasad i wskazań, które może zadowolić najsprzeczniejsze żądania; mogą być i będą tendencje do naśladowania tej metody przy tworzeniu nowej organizacji międzynarodowej. Sprawa nietykalności granic posiada tak doniosłe znaczenie dla Polski, że nie może tu być mowy o żadnych kompromisach. Mówiąc językiem popularnym: jeśli Francja zawarukowała opróżnienie Nadrenji i zmiany w spłacie odszkodowań zawarciem paktów lokarneńskich i oparła całą swą politykę na t. zw. Locarnie zachodniem, to Polska musi postawić za warunek swego przystąpienia do Związku europejskiego zawarcie Locarna wschodniego.

Na gruncie genewskim mają Niemcy ogromną przewagę nad Polską przez to, że należą do państw uprzywilejowanych, podczas gdy Polska jest wciąż państwem o „interesach ograniczonych", czyli państwem drugiego rzędu. W Związku europejskim musi Polska posiadać pełne prawa, musi więc stanąć na stanowisku całkowitej, niczem nie ograni-

czonej i jasno wyrażonej równości wszystkich państw do Związku należących.

Inicjatywa p. Brianda otwiera przed polityką polską możność energicznej, jasnej i stanowczej akcji, prowadzącej do wzmocnienia naszej pozycji w świecie. Nietylko otwiera możność, lecz zmusza do takiej akcji. Bo kto się orjentuje w sytuacji międzynarodowej, ten wie, że bierność polityki polskiej w obecnym momencie otworzyłaby drogę, prowadzącą do utworzenia takiego Związku europejskiego, który miast być utrwaleniem nowego, powojennego układu w Europie, stałby się terenem i narzędziem do zniweczenia wyników zwycięstwa, a więc na pierwszem miejscu zniszczenia Państwa Polskiego.

STANISŁAW KOZICKI

STULECIE POLITYKI KOLONJALNEJ FRANCJI

(NA MARGINESIE UROCZYSTOŚCI ALGIERSKICH)

W WYŚCIGU kolonizatorskim, który zapoczątkowały Hiszpanja i Portugalja u końca XV w., wzięła Francja udział już w następnem stuleciu, podobnie jak Anglja i Holandja. W ciągu XVI i XVII w. powstają kolonje francuskie u ujścia Missisipi i nad rzeką św. Wawrzyńca, następnie na Antylach. Potem genjalny Duplessix zdobywa Indje. Wreszcie Polak Beniowski po raz pierwszy poddaje panowaniu francuskiemu Madagaskar.

Zdobycze zamorskie Francji, dokonane z taką szybkością w ciągu XVI — XVII w., mają charakter epizodyczny. Koła kierownicze, wyjąwszy czasy wielkiego króla Ludwika XIV i Colberta, nie mają dla nich dostatecznego zrozumienia; z lekkiem sercem poświęca się je na rzecz wątpliwych sukcesów na kontynencie europejskim. Zmarnowano dzieło Duplessixa w Indjach; zaprzepaszczono imperjum kolonjalne w Ameryce i na Antylach. Znakomity historyk polityki zagranicznej Francji, Emil Bourgeois w zaniedbaniu tej dziedziny właśnie widzi poważne źródło klęsk Francji w XVIII w. W czasie tym posiada już Francja dzięki Ludwikowi XIV naturalne granice; od Habsburgów austrjackich nic jej nie zagraża. Głównym przeciwnikiem jest natomiast Anglja, która na gruzach imperjum Karola V i Filipa II wnieść pragnie własne. Zadaniem, które wskazują Francji politycy bardziej przewidujący (jak Choiseul), jest skupić około siebie inne państwa morskie, aby udaremnić pretensje Anglji do wszechwładzy na morzach. Przeprowadzenie tego programu uniemożliwiają intrygi na dworze Ludwika XV. Francja, walcząc *„pour le roi de Prusse"* w wojnach o sukcesję austrjacką, pozwala Anglji wyprzeć siebie z dominujących stanowisk swoich w Indjach i w Ameryce. Część utraconych w ten sposób posiadłości odzyskuje Francja dzięki wysiłkom Vergenne'a, który ją pchnął do wojny z Anglją w obronie zbuntowanych kolonij amerykańskich. Korzyści te grzebie jednak wkrótce rewolucja i późniejsze wojny napoleońskie. Z Kongresu Wiedeńskiego w 1815 r. wychodzi Francja nietylko okrojona w Europie, ale i ograbiona z reszty swych zamorskich posiadłości.

Gdy w r. 1830 śmiałą decyzją rządu Karola X zajęła Francja Algier, krok ten miał zapoczątkować politykę kolonjalną odnowa, skoro dawne imperjum zamorskie Francji prawie nie istniało. Polityka kolonjalna Francji staje się nią *in sensu stricto* — jest ona bowiem odtąd dopiero wynikiem planowej gry dyplomatycznej, realizacją pewnego świadomego celu, którym jest budowa prawdziwego imperjum kolonjalnego, budowa „większej Francji".

Zajęcie Algieru przez Francję miało cel podwójny. Niewątpliwie chodziło o znalezienie ujścia dla zatrzymanej na Atlantyku ekspansji kolonjalnej, jak i o dostęp do Afryki, która lada chwila otworzyć miała dla przybyszów z Europy swe bogactwa, narazie uchylając im nieznacznie dwa wejścia na „czarny ląd", na dwóch przeciwległych krańcach: w Egipcie i u przylądka Dobrej Nadziei.

Od tego względu polityczno - ekonomicznego ważniejszy był wzgląd czysto politycznej natury— zaszachowania Anglji na Morzu Śródziemnem, które nie przestało być ważnym ośrodkiem polityki europejskiej. Na cel ten wskazał rządowi Ludwika Filipa niedługo potem Talleyrand, tłumacząc w tajnej instrukcji, iż „najpilniejszem zadaniem Francji jest obalić przewagę Anglji na morzu, które (Francja) może uważać za własne, a którego Anglja nie jest nawet państwem przybrzeżnem". Na Morzu Śródziemnem posiadała Anglja wówczas Gibraltar, Maltę i wyspy Jońskie, pozatem wpływami swemi sięgała wgłąb Apenin i Bliskiego Wschodu — jest to wszak droga do Indyj. Również i Francja miała swych przyjaciół, w Hiszpanji, Grecji, w Egipcie. Posiadanie jednak kolonji na brzegu afrykańskim, tuż naprzeciw Marsylji, byłoby znakomitem obwarowaniem sytuacji Francji na tym terenie.

Ekspedycja do Algieru w r. 1830 była też podyktowana względami polityki wewnętrznej. Rząd restauracji Bourbonów, który wyrósł na klęsce Francji, szukał okazji do podniesienia swojej powagi. Początkowo sądził, że okazją taką będzie interwencja zbrojna w Hiszpanji, podminowanej rewolucją, odegrał jednak w tej sprawie tylko rolę żandarma Metternicha; udział w powstaniu greckiem nie więcej też przyczynił się do wzmożenia autorytetu monarchji Karola X, nie dał bowiem spodziewanych sukcesów zewnętrznych (niepowodzenie projektu Polignac'a), wzmógł zaś tylko nawewnątrz Francji nastroje rewolucyjne. I ekspedycja algierska nie uratowała restauracji, była jednak ostatnim blaskiem zachodzącego słońca monarchji, która „stworzyła Francję". Ukazując przyszłym pokoleniom drogę do powiększenia Francji, rehabilitowała rząd, narzucony przez obcych, rząd będący uświęceniem ciężkiego dla Francji traktatu wiedeńskiego.

W warunkach powyżej zaznaczonych, wystarczający był do podjęcia wyprawy algierskiej każdy pretekst. Pretekst taki się nadarzył: Bej algierski znieważył konsula francuskiego, uderzając go w twarz wachlarzem. W odpowiedzi na tę zniewagę oddziały francuskie lądują u wybrzeży algierskich, zataczając coraz ciaśniejszy pierścień wokół starego gniazda korsarzy.

Przedsięwzięcie francuskie tej miary musiało spotkać się z oporem Anglji. Zanim jeszcze wojsko francuskie wylądowało na afrykańskim brzegu, gdy wiadomą była jedynie decyzja rządu Polignaca — już Anglja protestuje. W zasadzie zgadzając się z myślą ekspedycji celem ukarania beja, żąda jednak Anglja zapewnienia, iż Francuzi nie pozostaną w Algierze na stałe. Takiego zapewnienia Francja dać nie chce. A gdy ambasador angielski w Paryżu nalega wobec Polignaca, by ten mu okazał przynajmniej instrukcję, przeznaczoną dla dowodzącego ekspedycją — Polignac oświadcza: „Byłby to dowód zaufania, który się może daje, którego jednak nie wolno żądać“.

Wyprawa algierska została podjęta i przeprowadzona mimo sprzeciwu Anglji, która jednak nie odważyła się wyprawie przeszkodzić, zajęta w tym czasie sprawą niezmiernie większej doniosłości dla siebie, powstaniem belgijskiem. Anglja śledzi jednak postępy wojsk francuskich w Algierze, a gdy w r. 1837 wojska te zajęły Konstantinę, Palmerston stawia wręcz zapytanie: jakie są dalsze zamiary Francji? Rozpoczną się więc rokowania, które skończą się kompromisem. Anglja uznaje „fakt dokonany“ w Algierze, Francja przyrzeka jednak pozostawić nienaruszone terytorja Maroka i Tunisu.

Tak się dokonał pierwszy krok Francji na drodze do utworzenia wielkiego imperjum afrykańskiego. Po Algierze przyszedł Tunis i Senegalja oraz ostateczne owładnięcie Madagaskarem, potem trafili Francuzi aż wgłąb centralnej Afryki i do zatoki gwinejskiej. Uwieńczeniem dzieła było roztoczenie formalnego protektoratu nad Marokiem w sam przeddzień wojny światowej. Postępy Francji na kontynencie afrykańskim Anglja przyjmuje, rzecz prosto, bez entuzjazmu, jednak im nie przeciwdziała — poprzestaje na wyznaczeniu im pewnych granic. Jest strefa nietykalna w Afryce i tej będzie broniła Anglja wszystkiemi siłami: To szlak wschodnio-afrykański od Aleksandrji do Kapsztadu, zabezpieczający spokojne posiadanie przez Anglję Indyj. Szlak ten starała się Francja dwukrotnie przerwać. Raz w r. 1839, kiedy wystąpiła jako protektorka Mehemada Alego przeciw Anglji i mocarstwom „opiekuńczym” Turcji, drugi raz w r. 1897, kiedy niemal pod okiem Kitchenera została zajęta Faszoda (wyprawa Marchand'a). Oba razy musiała Francji ustąpić, nie chcąc narazić się na nową, ciężką próbę wojny morskiej, pamiętna jeszcze doświadczeń Abukiru i Trafalgaru.

Prócz afrykańskich posiadłości ma Francja kolonje i w innych częściach świata, w Ameryce, Azji, Polinezji, kolonje te jednakowoż, poza Indochinami (choć i te są raczej terenem eksploatacji) nie mają dla Francji szczególnego znaczenia, służąc głównie jako jej bazy morskie. Natomiast ląd północno-afrykański staje się coraz bardziej w świadomości Francuzów przedłużeniem ich europejskiej ojczyzny. I powstaje zjawisko nowe, kolorowy ciemny lub czarny Francuz, mówiący po francusku, który gotów jest krew swą przelać za Republikę. Ma to znaczenie ogromne. Pominąwszy już tę okoliczność, że Francja zyskuje rezerwoar sił dla potrzeb obrony, decydującym jest wzgląd, iż pewna sympatji oraz wierności kolorowych poddanych, może ona bez troski patrzeć w przyszłość swego zamorskiego imperjum. Wobec tej cywilizacyjnej zdobyczy Francji, której podobną nie może się poszczycić żadne inne państwo kolonjalne, nie jest zbyt groźna nawet obecność dość znacznej ilości Włochów, rozsianych po wybrzeżach Tunisu, Algieru i Maroka.

Z zajęciem Algieru, a później dalszych wybrzeży południowo zachodnich Morza Śródziemnego, osiągnęła Francja zasadniczy cel ekspedycji, podjętej w r. 1830: śródziemnomorska przewaga Anglji została przełamana. Morze Śródziemne ważne jest i dziś dla Anglji jako szlak tranzytowy na drodze do Egiptu i Indyj, innego jednak znaczenia mieć już nie może. Po stu latach twórczej pracy kolonjalnej Francuzów w północno - zachodniej Afryce, zrezygnowała Anglja ze swych pretensyj do prymatu na Morzu Śródziemnem. Już przed samą wojną w r. 1912, w tajnym układzie morskim (nota W. Churchilla) powierzyła Anglja Francji obronę własnych interesów na Morzu Śródziemnem, na wypadek, gdyby była zmuszona wszystkie swe siły obrócić na północ, przeciw Niemcom. Zawarcie podobnego porozumienia było już stwierdzeniem, że śródziemnomorski antagonizm angielsko-francuski przestał istnieć. Zlecenie wielkiego Talleyranda zostało spełnione.

T. P.

ARCYDZIEŁA, NATCHNIENIE I PIERWIASTEK TWÓRCZY

GDYBYŚMY za arcydzieła uznawać mieli tylko te utwory, któremi się wszyscy *unisono* zachwycają, nie byłoby wogóle na świecie arcydzieł. Bardzo mało kto posiada umysł tak plastyczny, aby potrafił ocenić dzieło, powstałe w zupełnie innem środowisku, jak to, do którego on sam należy, lub niezwykłe pod względem formy. Każdy ma swoje nawyczki artystycznej percepcji. *Il dolce stil nuovo*, dla niejednego jest właśnie gorzki.

Arcydzieła więc wypadnie nam przedewszystkiem podzielić na powszechne i narodowe. „Dziadów“, „Anhellego“, „Wesela“, „Pana Tadeusza“ nawet, cudzoziemiec, chociażby krajowy cudzoziemiec, nie odczuje, a jeżeli odczuje to słabiej i całkiem inaczej od nas. Corneille i Racine mają poza Francją bardzo mało wielbicieli. Roberta Burnsa, Coleridge'a, Tennysona, a także poematy Olivera Goldsmitha, zrozumie tylko Anglik. Do takich nawskroś narodowych angielskich poetów należy także Rudyard Kipling, którego nowele podziwia świat cały. Lope de Vega poza Hiszpanją nigdzie nie był bardzo ceniony. Zadziwiał wprawdzie niesłychaną pomysłowością, z której korzystano skwapliwie, zwłaszcza we Francji, ale duchem pozostał wszystkim obcy.

Wypadnie nam następnie odróżnić arcydzieła trwałe od tymczasowych. Ponure kazania Ibsena, obleczone w szaty dramatu, rozbrzmiewały przez kilkanaście lat na wszystkich europejskich scenach, ku ogólnemu zachwytowi — do którego przy-

czynił się niemało literacki snobizm — i uchodziły za wiekopomne dzieła. Ibsena porównywano z Szekspirem! Dzisiaj ani widzów, ani czytelników nie wabią. Ochłodło także bardzo dzisiejsze pokolenie dla Zoli, Gorkiego, Andrejewa. A zdawało się, że to pierwszorzędne gwiazdy, które zawsze świecić będą tym samym blaskiem.

Każde arcydzieło powstaje z natchnienia, a właściwie z całego natchnień szeregu. Można się sprzeczać, czy wyraz ten jest właściwy na określenie wyjątkowej sprawności umysłu, a zwłaszcza wyobraźni twórczej, ale błędne jest mniemanie, dosyć rozpowszechnione, że nic podobnego nie istnieje i że o wszystkiem rozstrzyga talent i umiejętność. Największy genjusz i wprawa nie wystarczają do tworzenia rzeczy doskonałych. Najlepszy dowód, że dzieła tego samego autora bywają najczęściej bardzo nierówne pod względem wartości. Nieraz się zdarza, iż genjalny pisarz, staje się pewnego dnia całkiem niezdolny do dalszej twórczości, chociaż umysł jego, dzięki nowym wrażeniom i nowym wiadomościom z różnych dziedzin wiedzy, stale się wzbogaca. Zygmunt Krasiński przestał tworzyć w 29-tym roku życia, Adam Mickiewicz w 37-ym. Racine po napisaniu „Fedry", przez dziesięć lat nic z siebie nie potrafił wydobyć, aż dopiero pod sam koniec życia, napisał drugie arcydzieło: „*Athalie*". L'abbé Prévost napisał tylko jedno arcydzieło, „*Manon Lescaut*", chociaż jest autorem około stu powieści. Podobnie Bern. De. St. Pierre. Tylko jego „*Paul et Virginie*" ma niezrównany urok, a „*Chaumiére indienne*" uważana za drugie jego najlepsze dzieło, jest słabą ramotą, z której zaledwie parę stronic można bez przymusu przeczytać. Po jednem arcydziele stworzyli: Swift, Daniel de Foë, Charles Perrault, Murger, Carotte, Gresset Sedaine. Skądżeby więc pochodziła ta nierówność dzieł tych samych autorów i ten nagły zanik lub przypływ twórczości, bez niezależnego od twórcy impulsu wewnętrznego, podlegającego nieznanym nam bliżej prawom pełni i zaćmienia.

Prawdziwą, a więc własnem tchnieniem znaczoną twórczość rzadko tylko spotykamy u bardzo młodych autorów. Do takich wyjątków należą: Schiller, Pascal, La Boëtie i angielski poeta Chatterton. Schopenhauer także, jeżeli dobrze pamiętam, już w dwudziestym szóstym roku życia „pozatykał — jak się wyraził Heine o niemieckich filozofach — luki koncepcyj wszechświata, szlafmycą i strzępami szlafroka". Młodość zwykle naśladuje tylko, bo jest pod wpływem ulubionych autorów, a przytem świata zna mało, więc brak jej wątku do twórczości. I najgenjalniejsi poeci, jak Szekspir, Goethe, Mickiewicz w pierwszym okresie twórczości naśladowali albo przejmowali się cudzą myślą.

Częściej trafia się natchnienie twórcze w późnej starości. Charles Perrault dopiero w 69-tym roku życia zdobył się na arcydzieło, a pisał dużo. Teofrast był jeszcze starszy, gdy kreślił swoje „Charaktery", bo dochodził dziewięćdziesiątki. Buffon ukończył swoje epokowe dzieło: „*Epoques de la nature*", mając lat 71, a Goethe przykładał jeszcze ręki do II-giej części „Fausta" na parę miesięcy przed śmiercią t. j. licząc przeszło 82 lat.

Niema arcydzieła w literaturze pięknej, całkiem jednolitego. Każde porównać można do naszyjnika wysadzonego drogiemi kamieniami. Te kamienie mogą to być brylanty wielkie i czystej wody, jak np. w „Boskiej Komedji" i większości tragedyj i dramatów Szekspira i tak, jak w tych arcydziełach osadzone bardzo gęsto, albo mogą to być drobne, ale przecież cenne i liczne kamyczki, jak u Lafontaine'a, Heinego, Heredii i t. p. Kamienie bywają oczywiście rozmaitej wartości, począwszy od brylantów i rubinów a skończywszy na opalach. Wreszcie, drogie kamienie mogą być oprawne zrzadka, co się najczęściej zdarza, jak np. w „Raju Utraconym", w „Jerozolimie Wyzwolonej", w „Rolandzie Szalonym", w „Luizjadach". O ileż hojniej rozsiał je Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", jednem z najbarwniejszych i najsoczystszych arcydzieł literatury pięknej. Oprawa tych kamieni może być misterna, prosta lub niedbała, co już zależy mniej od talentu i natchnienia, niż od umiejętności, smaku i wysiłku autora.

Twórczość artystyczna podobna jest do rzeki, która ma wprawdzie własne źródła i własne łożysko, ale nabrzmiewa dopływami. Gdyby autorzy nigdy z cudzej twórczości nie korzystali, dzieła literackie powstawałyby wybuchowo, utwory zaś byłyby w treść ubogie i podobne do siebie, bo wszystkim się to samo najpierw rzuca w oczy.

To też tylko tym autorom, których poprzedników nie znamy, nie możemy udowodnić „czarno na białem", że korzystali z cudzego dorobku. Aulus Gelius przytacza w „Nocach Attyckich" cały szereg wierszy, które Wirgiliusz przetłumaczył z autorów greckich i włączył do swoich poezyj.

Ale nietylko Wirgiliusz czerpał *de stercore Ennii*. Cicero wcale się nie tai, że szuka natchnienia do swoich rozważań filozoficznych u Greków. „*Minimo fiunt labore*, — mówi, w liście do Pomp. Atticusa — *verba tantum affero, quibus abundo*". „Niewiele kosztują mnie trudu. Słów tylko przydaję, których mam poddostatkiem".

Najpiękniejszą strofę „Jerozolimy Wyzwolonej" przetłumaczył Tasso dosłownie z Lukrecjusza. Tę mianowicie, w której jest mowa o lekarzu, dającym dziecku gorzkie lekarstwo w naczyniu o brzegach zaprawnych słodyczą. Nie mam niestety tekstów pod ręką, więc nie mogę ich przytoczyć. Pamiętam tylko, że je kiedyś porównywałem i że owa strofa kończy się u Tassa słowami „*e dall' suo inganno vità riceve*" (i dzięki tej jego omyłce, życie weń wstępuje).

Pomysł walki z wiatrakami, — najsławniejszy ustęp „Don Kiszota", — zawdzięcza Cervantesz „Metamorfozom" Apulejusa. Wprawdzie w tej jedynej powieści z czasów starorzymskich, która się dochowała w całości, niema mowy o wiatrakach, lecz o trzech zaczarowanych ławgiach z winem, z któremi potyka się bohater Apulejusa dzielnie i wszystkie przebija mieczem, biorąc je za napastników, ale komizm sytuacji polega zupełnie na tem samem. Dodajmy, że w „Metamorfozie" daleko zabawniej wypada ta scena, której Cervantes nie rozwinął i którą zbył dosyć oschle.

Z rzekomego zabójcy podrwiwa publiczność, która się zbiera przed jego domem i utrzymuje go czas jakiś w mniemaniu, iż popełnił zabójstwo. Przynoszą „ciała zabitych", pokryte całunem, i w chwili, gdy obwiniony w największym jest strachu, nie wiedząc, jak się bronić, ktoś z obecnych zrywa płachtę i ku ogólnej wesołości ukazują się skórzane ławgie, z których sączą się resztki czerwonego wina.

Molière korzystał z Arystofanesa, z Plauta, z Terencjuasza, z urywków Menandra i z włoskich fars, z których przejął typ doktora blagiera.

Lafontaine niemal wszystkie swoje niezrównane bajki osnuł na prastarych pomysłach, a przecież jest jednym z najoryginalniejszych poetów. Szekspir nietylko pomysł i wątek do swoich nieśmiertelnych tragedyj i dramatów czerpał z obcych źródeł, ale nie jedną myśl, obraz, lub porównanie. Naliczono trzydzieści miejsc w dziełach Szekspira, powstałych pod wpływem Montaigne'a, w „Henryku IV-ym" znajduje się kilka wierszy, które są parafrazą jednej tercyny z „Czyśćca". W „Burzy" cały ustęp przeniósł Szekspir z „Pantagruela" [1]), przetapiając go wszelako na jeszcze większy artyzm w ogniu swojego genjuszu. Prześliczny poemat „Wenus i Adonis" osnuł Szekspir na „Metamorfozach" Owidjusza. A mimo to Szekspir jest może najpotężniejszym, najbardziej twórczym i najbardziej sobą z wszystkich poetów. Bo pomysł w twórczości literackiej odgrywa rolę drugorzędną. Jest on tem, czem model dla malarza, lub narzędzie muzyczne dla grajka.

Niepotrzeba zaglądać aż do Scartazziniego, wystarczy do pierwszego lepszego komentarza do „Boskiej Komedji", aby się przekonać, ile Dante zawdzięcza innym poetom.

A niedawno — w 1916 r. — prof. uniw. w Saragosie p. Asin Palacios, napisał książkę opartą, na źródłowych badaniach, o nieznanym dotychczas fakcie, o wpływie arabskich mistyków na twórczość Dantego.

Pomysł do „Hermana i Dorothei" nasunął, jak wiadomo, Goethemu poemat Henryka Vogta „*Luize*".

„Faust" także powstał z dawnego podania.

Wobec tych przykładów, których tylko małą garstkę przytaczam, cytując wyłącznie z pamięci — z wyjątkiem wzmianki o Szekspirze — śmiesznem by było wytaczanie procesu Mickiewiczowi i kurczenie należnego mu podziwu z powodu, że i u niego spotykamy echa innych pisarzy, zwłaszcza w pierwszym okresie jego twórczości. Zaraz zobaczymy, jak bardzo dyskretnie korzysta Mickiewicz z gotowego materjału i jak przetapia cudzą myśl we własnym tyglu.

Przekonanie, że duch (intuicja) i serce wyższe nad rozum i wiedzę, co stanowi istotę romantycznego kierunku w literaturze, wyraził Mickiewicz w „Romantyczności" słowami:

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełka i oko"

oraz w „Odzie do młodości":

„Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy"

a dalej:

„Łam, czego rozum nie złamie".

Otóż te same pioruny na zarozumiałą wiedzę rzucał Schiller kilkakrotnie. W epigramie p. t. „*An die Astronomen*" czytamy:

Schwatzet nicht so viel von Nebelflecken und Sonnen,
Ist die Natur gross weil sie zu zählen euch gibt?
Euer Gegenstand ist der erhobenste freilich im Raume
Aber Freunde im Raume wohnt das Erhobene nicht.

„Nie paplajcie mu tak dużo o mgławicach i słońcach, czyż przyroda tylko dlatego wielka, że macie dzięki niej co obliczać? Przedmiot waszej nauki jest wprawdzie najpodnioślejszy w przestrzeni, ale, przyjaciele, nie w przestrzeni mieszka to, co podniosłe".

[1]) Longworth — Chambrun: „Shakespeare" Paris 1926.

W wierszu p. t. „*Die Weltweisen*" (filozofowie) tak wynosi Schiller serce i geniusz ponad uczoność:

„Der brave Mann thut seine Pflicht
Und that sie ich verhehe' er nicht
Eh' noch Weltweise waren;
Doch hat Genie und Herz vollbracht
Was Locke und Descartes nie gedacht,
Sogleich wird auch von diesen
Die möglichkeit beniesen.

(Uczciwy człowiek spełnia swój obowiązek, i spełniał go, tego nie taję, zanim istnieli filozofowie, a przecież skoro genjusz i serce dokonają, o czem ani pomyśleli Locke i Descartes, natychmiast dowiodą ci oni, że to było możliwe).

W epigramie p. t. „*Der Schlüszel*" Schillera czytamy: „*Willst du den andern verstehn, blick in dein eigenes Herz*" (jeżeli pragniesz innych zrozumieć patrz we własne serce).

Co prawda tę samą myśl wyraził niemal temi samemi słowy współczesny Schillerowi poeta Bodenstedt (*Mirza — Schaffy Lieder*) (z którego zresztą urywki Mickiewicz tłumaczył) słowami:

Willst die Menschen recht verstehn
Muszt du in eigene Herz dir sehn.
(Chcesz ludzi prawdziwie rozumieć
musisz we własne serce patrzeć).

Wyraźniejszy oddźwięk muzy Schillera, brzmi w słowach „Ody do młodości": „Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze". W poemacie p. t. *An Göthe* (z okazji wystawienia w Weimarze Wolterowskiego „Mahometa," którego Goethe przetłumaczył) mówi Schiller:

„Du selbst, der uns von falschem Regelzwange.
Zur Wahrheit und Natur zurückgeführ
Der in der Wiege schon ein Held die Schlange,
Ersteckt, die ursern Genius umschnürt...

(Ty, któryś nas sam, z pod przymusu fałszywych reguł, przyprowadził z powrotem ku prawdzie i naturze, ty, który w kolebce już bohater, zdusiłeś węża, co pętał nasz genjusz etc.)

Wyszukanie ojcostwa myśli nie jest trudne, o ile autor czerpał natchnienie z arcydzieła lub przynajmniej u znakomitych pisarzy, ale jeżeli tak, jak Stendhal, łowił, co się dało, z bieżącej literatury, z broszur i dzienników, nastręcza ogromne trudności. I dodajmy ważne nie jest, czyni się wprawdzie zadość zasadzie *suum cuique*, ale na ocenę wartości literackiego utworu jako całości wpływu niema. Dobry wybór, to także w swoim rodzaju twórczość. A przytem porównywając dzieła, powstałe w tej samej epoce, trzeba być bardzo ostrożnym w sądach, bo czasem myśl jakaś lub nawet zwrot gotowy, były własnością ogółu, hasłem pokolenia.

Oto dowód. W części drugiej „Fausta", której Mickiewicz nie mógł znać, gdy pisał „Romantyczność", ponieważ ukazała się dopiero po śmierci Goethego (1832) znajdujemy jeszcze większe powinowactwo myśli z tym utworem i z „Odą do młodości":

Daran erkenn ich den gelehrten Herrn
Was ihr nicht tastet, steht euch meilenfern!
Was ihr nicht fasst, das fehlt euch ganz und gar
Was ihr nicht rechnet, glaubt ihr, sei nicht wahr
Was ihr nicht wägt, hat für euch kein Gewicht
Was ihr nicht münzt, das meint ihr gelte nicht.

(Po tem zaraz poznaję uczonego męża! Czego nie dotkniecie ręką, to zdaje wam się niezmiernie dalekie! Czego nie pojmujecie, to dla was całkiem nie istnieje. Czegoście nie obrachowali, sądzicie, że nieprawdziwe; czegoście nie odważyli, dla was nie-

ma wagi; czegoście nie przepuścili przez swoją mennicę, waszem zdaniem, niema wartości).

Wzmianka więc moja o wpływie muzy Schillera na niektóre wersje Mickiewicza, jest więc tylko domysłem tej możliwości, a nie stwierdzeniem faktu.

Arcydzieła literatury pięknej są nietylko pomnikami, trwalszemi od spiżu, dla ich twórców, lecz i najmocniejszym cementem między pokoleniami. W nich skupia się *onore e lume* narodów, które je wydały i spływa na potomność. Dostojność zawierają w sobie najprzedniejszą rodzaju ludzkiego, bo płynącą z ducha, nie z potęgi i bogactwa. Jakże pomniejszoną byłaby Grecja bez Homera i Platona, Anglja bez Szekspira a Włochy bez Dantego!

Ale trzeba te wszystkie wartości umieć odczuć i ocenić. Czasami z powodu obniżenia poziomu intelektualnego społeczeństwa, najwspanialsze utwory tracą na żywotności. Tak się np. stało w Bizancjum. O arcydziełach można niekiedy to samo powiedzieć, co Owidjusz o sobie na wygnaniu: „*Barbarus hic ego, quia non intelligor ulli*“—„Ja tutaj jestem barbarzyńcą, ponieważ nikt mnie nie rozumie”.

Miażdżąca krytyka nawet największych arcydzieł świata wcale nie jest trudna. Wystarczy, aby krytyk nie umiał niczego zrozumieć i niczego odczuć, co się nie mieści w ramach jego upodobań artystycznych, jego poglądów na świat i wszystkiego, co wychodzi poza obręb środowiska, do którego przywykł. Ileż razy spotkała Szekspira nagana, że jest niemoralny, że jest gburowaty, że błaznuje, że okrada innych autorów. Cóż łatwiejszego, jak takie czynić wyrzuty? Ale krytyka ulubionych przez ogół utworów ma zwykle uboczny cel, osobistej natury. Oryginalnemu krytykowi nie chodzi o wydanie szczerego sądu, lecz o zaimponowanie śmiałym wyrokiem. Jest to przecież wypróbowana droga do szybkiej sławy — dla wielu jedyna. Ponieważ sromotna kara, jaką według podania miał ponieść Zoil, na rozkaz Ptolemeusza, za sprofanowanie Homera, nikomu nie grozi, więc spróbujmy pójść śladami ambitnych krytyków:

„Czemże jest właściwie ta przez tyle wieków przeceniona „Iljada“? Opisem długoletnich potyczek, o posiadanie nadmorskiego miasteczka. Monotonne opowiadanie, o ciągłych bojach i wzajemnych kłótniach stron walczących, nuży delikatnego czytelnika. Ordynarni byli wówczas ludzie, umieli tylko bić się, jeść i pić. I jakie to wszystko było wówczas mizerne! Ze skarbcem Priama dałoby sobie radę dwóch warszawskich kasiarzy, a jeden karabin maszynowy rozpędziłby całą tę zgraję. Najsympatyczniejszym wśród tych krzykaczy i zawadjaków, to Tersytes. Ale naturalnie, nie dają mu przyjść do głosu i poniewierają nim. Największy jednak zarzut, jaki wolno nam zrobić „Iljadzie“ i wogóle wszystkim epopejom, powstałym przed powstaniem Ligi Narodów, a więc przedewszystkiem „Nibelungom“, to ten, że nie przewodzi im duch Locarna.

„Nibelungi“, to dzieje ciągłych mordów i zdrad. O niczem innem ludzie tam nie myślą, jak tylko o jedzeniu, piciu, ubieraniu się pięknie i o zalotach.

W „Odyssei“ mnóstwo spotykamy nieprawdopodobieństw, które rażą każdego rozsądnego człowieka. Gdyby nie pewne drastyczne szczegóły, byłaby to książka dla małych dzieci. Osią, około której się ta opowieść obraca, to cierpliwość Penelopy. Dwadzieścia lat biedaczka czekała na powrót małżonka, zamiast już po pięciu, albo nawet trzech latach jego nieobecności ogłosić się wolną. Jest to widoczny dowód antyfeminizmu Homera.

Horacy, typowy degenerat rzymski, sobek, bez najmniejszego poczucia solidarności społecznej. On to przecież powiedział obraźliwe słowa: „*odi profanum vulgus et arceo*“ — nienawidzę głupiego motłochu i unikam go. A cóż sam takiego mądrego powiedział? „*beati possidentes*“! że szczęśliwi ci, co posiadają? O tem wszyscy dawno wiedzieli. Przytem zarozumialec i pochlebca. Chwali się, że wystawił sobie pomnik trwalszy od spiżu swojemi wierszami, a do jakiegoś zbogaconego adwokata mówi: mecenasie, w przodkach twoich płynie krew królewska!

„Boska Komedja“, to przykra pamiątka po mrokach średniowiecza, może się podobać, chyba tylko sadystom. Przez trzydzieści trzy pieśni oprowadza nas poeta po piekle i każe nam się przypatrywać najwyszukańszym mękom, które sam wymyśla i na które skazuje jednostki, co nie potrafiły sobie zaskarbić jego sympatji. Jak jest mściwy, świadczy fakt, że i swego nauczyciela umieszcza w piekle! Za to przy opisie nieba plami się Dante niesłychaną stronniczością i nepotyzmem.

Największym wszetecznikiem wszystkich czasów jest Szekspir. W „Korjolanie” niema ani słowa nagany dla Menenjusza Agryppy, który swoją bajeczką o żołądku, występuje przeciwko dyktaturze proletarjatu. W „Henryku IV-tym“ darzy sympatją obżartucha i pijaka Falstaffa. Szekspir jest przytem antysemitą. Mało istnieje złośliwszych paszkwilów na żydów od „Kupca Weneckiego“.

Najbardziej jednak oburzającą sztuką Szekspira jest „Burza“. Wyzyskiwacz Prospero każe pracować dla siebie Arjelowi i biednemu Kalibanowi, który, nawiasem mówiąc, jest najsympatyczniejszą osobistością w tej dziwacznej komedji. Miranda, córka Prospera, to typowa panna z bogatego dworu, niby słodka i grzeczna, a jednak odtrąca rękę kochającego ją i zapracowanego Kalibana, bez którego pomocy nie miałaby ani drzewa, ani wody w kuchni, dlatego, żo on jest dziecięciem ludu.

Uwiedzenie młodej, naiwnej dziewczyny, jest wydarzeniem bardzo pospolitem i gdyby na każdym podobnym wypadku chciano osnuć dramat, nie starczyłoby na świecie papieru. Temat banalny i już wszystko, co było do powiedzenia o uwodzicielach i uwiedzionych, dawno powiedziano. Ale innego zdania był radca Goethe. Zapewne dlatego, że się chował w małem mieście, gdzie każda miejscowa sensacja urasta do rozmiarów epokowego zdarzenia. Sednem jego fantastycznego melodramatu jest uwiedzenie prowincjonalnego dziewczęcia. Bohater tego utworu, doktór Faust, skończył aż cztery fakultety, a mimo to, a może właśnie dlatego, jest taki z niego niedołęga, że wzywa djabłów, ba! samego Mefistofelesa, aby uwieść i to nie żadną hrabiankę, ale skromną panienkę z tak zwanego w Niemczech *Mittelstandu*.

Na zawołanie przybywa djabeł kulawy. Dlaczego kulawy, tego nikt nie zgadnie, zapewne po to, aby było zabawniej i żeby urozmaicić dosyć jałową akcję. Takich akcesoryj spotykamy w „Fauście“ mnóstwo. Nie pytajcie, co tam jest, ale czego tam niema. A więc studenci, uczniowie, dyrektorzy teatru, żołnierze, mieszczanie, czarownice, etc. etc. Znany manewr romantyków, żeby opowiedzieć w grubym tomie to, co by się dało zmieścić na trzech stronicach.

Uczony Faust, mimo, że ma do pomocy Mefistofelesa, uwodzi swoją bogdankę, starym jak świat sposobem, posyłając jej cenne biżuterje.

I wszystko idzie zwykłym w takich razach trybem. Uwiedziona biedaczka zabija przez nieostrożność matkę, a potem topi dziecko. Dostaje się następnie do więzienia, gdzie biada nad swoim losem, żałując po niewczasie popełnionych czynów.

Na co to wszystko? Mogła przecież wyjechać dyskretnie zagranicę, pomyśli czytelnik. Zapewne, ale w takim razie nie byłoby dramatu.

Biedną Małgosię — bo tak się nazywa bogdanka doktora Fausta — mają stracić. Kodeks ówczesny był bardzo surowy, a sędziowie nie uznawali okoliczności łagodzących. Na szczęście dla niej, jakaś siła porywa ją w ostatniej chwili i z chmur dochodzi nas głos, że jest uratowana. Na poparcie tego twierdzenia nie przytacza autor żadnych dowodów.

Taka jest część pierwsza dzieła tego autora. Następuje część druga, znacznie dłuższa, której jednak ani streścić nikomu się dotychczas nie udało, ani zrozumieć, pośpieszymy dodać, nie wyłączając autora. Mimo to, sprawiedliwość każe nam przyznać, że tu i owdzie można natrafić w „Fauście" na zdanie rozumne np. „*das ewig weibliche zieht uns hinan*".

„A teraz rozważmy z kolei owo rzekome arcydzieło polskie, ową sławną epopeję z czasów pańszczyźnianych, „Pana Tadeusza". Jest to opowieść o zatargach sąsiedzkich i rodzinnych porachunkach, na głębokiej, od świata odciętej prowincji, „Litwie środkowej". Bohaterowie zajęci przeważnie jedzeniem i pijatyką, biciem much, polowaniem i flirtem. O ludzie roboczym, o czarnych strajkach, o wiecach fornali, ani słowa, a takby to przecież urozmaiciło monotonny poemat.

W wolnych chwilach, ci wszyscy próżniacy, żyjący z nadwartości pracy ciemiężonych robotników, czubią się między sobą lub biją z Moskalami; oczywiście wśród tej czeredy szlacheckiej, złożonej ze zwykłych ciarachów i z karmazynów oraz z różnych urzędników większych i mniejszych, nie zapomniał Mickiewicz o hrabim i księdzu. Bo czyż autor polski obył się kiedy bez hrabiów i księży? Pełno ich we wszystkich powieściach, czasami dla odmiany pojawia się kleryk, wikary albo biskup, a ze świeckich dygnitarzy baron lub prawdziwy książe.

„Najbardziej lubuje się Mickiewicz w opisach zastawy stołowej i różnych przysmaków. A pieczołowitość swoją o zaspokojenie ciekawości czytelnika pod względem gastronomicznym posuwa tak daleko, że go poucza, jak sporządzać dobrą kawę i informuje go nawet, czy biesiadnicy jedli milczkiem czy głośno. Najkulturalniejsza jednostka wśród mnóstwa rubasznych postaci, to Jankiel. Byłby on z pewnością wyrósł na Meyerbeera, albo choć Rubinsteina, gdyby się był urodził w innej atmosferze".

Muszę sobie tymczasem sam przyklasnąć. Oto, od jednego zamachu, bez wysiłku, postrącałem z piedestałów tyle wielkości, na które się wieki składały i przed któremi bili wszyscy pokłony. Dokonałem sam jeden dzieła, na które się dotychczas nikt nie ważył. Czyż mi nie wolno być dumnym?

FELIKS CHWALIBÓG

Z „KSIĄG STAREGO ZAKONU"

(FRAGMENT NIEDRUKOWANY)

1. Żył ongi w ziemi Huss, mąż Jobem zwany,
Szczery i prosty — słowem, bez przygany,
W poszanowaniu praw podanych z góry.
2. A miał siedmioro synów i trzy córy.
3. A zaś dobytek jego był bydlęcy:
Pięćset jarzm wołów, owiec siedm tysięcy,
Pięć setek oślic — juki też noszące
Wielbłądów stado — spełna trzy tysiące.
Miał też czeladzi wszelkiej liczbę mnogą,
Słowem: że znano w nim nie lada kogo.
4. Bywało: syny jego, gdy z dziewczęcą
Siostr swoich trójką, dni doroczne święcą,
5. Słał do nich wieścią, wielce radowaną
Z tej ich czynności, i sam, wstawszy rano,
U siebie czynił też całopalenie,
By, jak on, Bóg też chciał ich mieć w Swej cenie.
Tak to on pilnie spełniał sprawy Boże.
6. Aż raz na Górnym gdy się zeszli Dworze,
Anieli, których służbą Pan się cieszy,
I gdy się szatan zjawił wśród ich rzeszy,
7. Rzekł Pan:—A ty skąd taki?—Więc on rzecze:
— Wzdłuż i wszerz zbiegłem osiadłości człecze.
8. — A czy baczyłeś sługę mego Joba?
Któż sobie w cnocie tak jak on podoba!
Człek prosty, szczery, w którym siedzi trwoga
Wszelakiej złości — bo się boi Boga.
9. A na to szatan w przewrotności swojej:
— Zaliż to darmo Job się Boga boi?
10. Sam go od wszego odgrodziłeś złego.
Słudzy mu Twoi majętności strzegą.
Więc cóż stąd:—że on praw—gdy z ręki Bożej
Pomyślność wszelka dziwnie mu się mnoży?
11. Ale mu, proszę, ujmnij Twej opieki,
A baczyć będziesz w chwili niedalekiej,
Czy on Ci długo błogosławić będzie?
12. Rzekł Pan:—Chcę w tobie próby mieć narzędzie
W moc dam ci wszystkie jego posiadanie,
Jeno od niego, wara ci szatanie.
Z tem czart precz odszedł.—Ano się przydało:
13. Gdy Jobowicze, swą gromadą całą,
Pierworodnego dzień święcili brata,
14. Od pola, sługa w Joba dom przylata,
Wołając: — Panie! Woły, gdy orały,
A tuż się oślic pasł dobytek cały,
15. Wszystko Sabeje zagrabili wściekli.
Do cna też czeladź wszystką twą wysiekli
Że, prócz mnie, nie masz ówdzie więcej sługi!
16. To gdy on jeszcze prawił, nadbiegł drugi:
— Panie! — wołając — Z Nieba Ogień Boży
Spadł stu gromami, i ten jak najsrożej
Zżarł owiec twoich najwybrańsze roje
A także przy nich wszystkie sługi Twoje.
Jam tylko został, bym biegł z temi słowy.
17. To, gdy on mówił, przypadł goniec nowy,
I wołał: — Panie! Źle się z nami dzieje!
Z trzech stron opadli stada twe Chaldeje,
Wielbłądy skradli, klacze ze źrebięty
Pognali! — Przyczem, z ręki ich przeklętej,
Pobici mieczem wszyscy pachołkowie!
Jam tylko jeden wyniósł stamtąd zdrowie,
Bym z żalu marniał, gdy ci to obwieszczę.
18. To gdy on mówił, przypadł inny jeszcze.
Ten wołał: — Panie! Rzecz się straszna stała!
Oto tam, kędy, dziatwa twoja cała
Pierworodnego brata dzień święciła,
19. Jedna już tylko piętrzy się mogiła!
Gdy w domu tego węgły i bierwiona
Zwaliła z pustyń wichru moc szalona,
Zrąb runął, wszystkich żywcem kładąc w grobie!
Jam tylko uszedł z wieścią tą ku tobie.
20. Tedy Job, klęskę gdy zasłyszał ową,
Swe szaty zdarłszy, z ogoloną głową
Padł w proch i wyrzekł, kłoniąc w dół ramiona:
21. Nagi wyszedłem na świat z Matki łona,
Nagi też ziemi zwrócę moje ciało,
A to, iż tak się Panu podobało.
Pan dał — Pan odjął! Niech się Jego Imię
Święci w krwi ofiar i w kadzideł dymie!
A tak, choć dola padła nań tak sroga,
Przedsię nie zbluźnił przeciw Sądom Boga.

FELICJAN FALEŃSKI

NA WIDOWNI

W trzydziestolecie Przybyszewszczyzny. — Czem jest twórczość polska i jak próbowano ją wykoleić. — Figiel filozoficzny *Made in Germany*. — Parodjowanie Kanta na użytek gawiedzi i snobów. — Metafizyka alkoholu i alkohol doktryny. — Literatura jarmarczna i zanik zmysłu moralnego. — Podszywanie się pod Młodą Polskę.

WYDANY świeżo drugi tom wspomnień Stanisława Przybyszewskiego p. t. „Moi współcześni“ [1]) pozwala mi obejrzeć się na ubiegłe trzydziestolecie literatury i wogóle — życia umysłowego inteligencji polskiej.

Był taki moment na początku stulecia, kiedy w Przybyszewskim upatrywano źródło odrodzenia sztuki w związku z przewrotem pojęć filozoficznych o sztuce i życiu. Z naszego pagórka czasu widać, że to nieprawda.

Jest faktem, że na przełomie dwu stuleci odrodziła się literatura na zachodzie Polski. Leżące długi czas ugorem pola zakwitły pięknym plonem: Prus, Sienkiewicz na Mazowszu, Wyspiański w Małopolsce, Podhale z Tetmajerem, Kujawy z Kasprowiczem. Jest faktem dalej, dającym się zaobserwować na obszarze Polski, że gdzie dawniejsza kultura, bardziej zautomatyzowana, obrócona na powszechne zdobycze pożytkowe, tem trudniej wydobyć z gleby fenomenalne zjawiska twórczości poetyckiej: potrzeba na to głębokiej orki przemian społecznych. Odrodzenie twórczości następowało z posiewu edukacyjnego, ale gdy ten na wschodzie na nowiznach dawał plon niespodziewany już na początku XIX w., to na Mazowszu, w Małopolsce i Wielkopolsce trzeba było pracować dłużej nad wydobyciem świeżych pokładów ludowych, któreby odświeżyły społeczeństwo i pozwoliły mu na nowo spojrzeć na siebie (Prus), na historję (Wyspiański), na świat (Kasprowicz).

Ten ruch ze wschodu na zachód jest powrotną falą prądu, który dawniej unosił szlachtę z zachodu na wschód, aż w końcu cała niemal myśl polska przeniosła się tam na wschód do dworów wielkopańskich, pozostawiając kraj w ugorach. Fala ta, uderzywszy o brzegi cywilizacji wschodniej, dała widowisko wspaniałe w twórczości poetyckiej Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego (mazura); twórczość ta pokutowała potem na wygnaniu, jakby się oderwała od ziemi, znalazłszy wśród gwiazd nowe przyciąganie, ale istotą jej była zawsze tragiczna tęsknota do śpiącej głębi życia polskiego.

Faktem i prawdą życia polskiego jest nieprzerwana (choćby u gwiazd) łączność życia ze sztuką (poezją).

Tej prawdy nie poznał Przybyszewski w młodości, nie zrozumiał swego pomylenia na starość, kiedy pisał książkę, pośmiertnie teraz wydaną. Idea podstawowa Przybyszewskiego jest niepolska, oparta na wierze, że sztuka (literatura) jest nie z tego świata i wynika z antagonizmu do społeczeństwa. Cała „Przybyszewszczyzna“ w Polsce, to dzieje konfliktu; istotę jego Przybyszewski stara się właśnie w swej książce wyjaśnić, choć sam jej nie rozumie.

Za punkt wyjścia jego trzeba wziąć ustęp, w którym opowiada o swem przybyciu do Polski z Berlina i Skandynawji (ostatnie lata XIX w.).

„Jechałem do Polski, ale przez głowę mi nie przychodziło, żebym ja miał kiedykolwiek jakąś rolę w Polsce odegrać... A tu nagle dowiedziałem się, że może w żadnym kraju artysta nie żyje tak w obrębie społeczeństwa, jak właśnie w Polsce, że to społeczeństwo rości sobie, i ma istotnie prawa do artysty, by ten spełniał naczelną rolę w społecznem życiu“ (s. 70).

Przybyszewskiego rolą miało być wzniecenie rewolucji przeciwko temu prawu społeczeństwa, rozluźnienie organicznego związku sztuki z życiem. Powołuje się na to, że przecież w Berlinie, gdzie się poczuł artystą, należał do małego kółka artystów, „żyjącego całkiem poza obrębem społeczeństwa“ — i nikt się o nich nie troszczył. A tymczasem w Polsce taka kontrola! Z jednej strony bałwochwalcze hołdy niedorostków i snobów jedynie dla marki, jaką miał: *Made in Germany*, a z drugiej strony krzyk oburzenia i potępienia.

„Ja (niem. *ich*) na razie nie uświadamiałem sobie, że społeczeństwo może stawiać artyście jakieś wymogi, a społeczeństwo nie rozumiało, że mógł się jakiś artysta zjawić, który się odważył wystąpić z tak namiętnym protestem przeciwko uroszczeniom społeczeństwa. Wychodziłem z założenia, na jakie społeczeństwo żadną miarą zgodzić się nie mogło“. (s. 123).

Przybyszewski nie znał społeczeństwa polskiego, ani jego literatury. Ubrdało mu się, że

„społeczeństwo szuka w sztuce celu i pożytku, przyzwyczaiło się do tej niezłomnej wiary, że i cały twór Boski dla jego specjalnej przyjemności stworzony: kwiaty, by człowiek mógł je wąchać, zwierzęta, by nam za pokarm służyły itd. I to naiwne pojęcie starał się człowiek, który mało co nad małpę wyrósł, rozciągnąć i na objawienie, jakiem jest sztuka. Zaczął o to pytać, jakie korzyści mu sztuka przynosi, jakie ma cele i jaki ma sens“. (124).

Wierutne kłamstwo, którem stale operują żydzi w sztuce i krytyce. „Społeczeństwu“ nie o cele i pożytki chodzi, lecz o prawdę, która leży w źródłach tworzenia, o to, żeby artysta był prawdziwy, zgodny z sobą, a więc z życiem. Przybyszewski tak powierzchownie widział i myślał, że nie zadał sobie pytania, dla jakich to pożytków otoczono w Polsce kultem Kochanowskiego, Mickiewicza i za jego czasów Wyspiańskiego, Kasprowicza. Tworzyli bez konfliktów.

Przybyszewski przywiózł z Berlina figiel filozoficzny, wyrobiony przez schyłkowców niemieckich na użytek literacki, figiel bardzo niewybredny, że „człowiek sztuki nie tworzy“, lecz jakaś nieznana potęga psychiczna, jakaś dusza astralna ludzkiego „Ja“ artysty (125). Nie „ziemia“, czy „społeczeństwo“ wydaje na świat twórcę, lecz odwrotnie „człowiek nawiedzony łaską“ stwarza tamto oboje (126). Człowiek przeto piszący nie jest odpowiedzialny, ani za to, co tworzy, ani nawet za to, jak żyje, działa bowiem przez niego siła metafizyczna. Cóż znaczy np. popęd miłosny, który spowodować może w rezultacie zabranie komuś żony? Człowiek znajduje w niej „dopełnienie tego, za czem jego metafizyczna, twórcza istota... tęskniła“ (157).

Z całej filozofji Kanta zrobiono w końcu taki figiel—*made in Germany*. Przybyszewski w dobrej zapewne wierze, ale niezdolny do myślenia na trzeźwo, usiłował tą bombą wywrócić świat myśli polskiej do góry nogami. O metafizycznych źródłach natchnień uczyliśmy się przecież od Niemców w okresie wczesnego romantyzmu, który wkrótce swoiście tę teorję przetrawił. Działo się to jednak bez obrazy zdrowego sensu i samego Kanta oraz jego szkoły. Teorja świata, który jest niczem,

[1]) St. Przybyszewski. „Moi współcześni“. „Wśród swoich“. Warsz. 1930. Inst. wyd. Bibljoteka Polska. Str. 184.

i myśli ludzkiej, która światu daje sens, łączyła się z teorją surowej moralności, opartej na rozumie praktycznym. Prawda i fałsz w życiu miały swoje kordony. Było w całym systemie miejsce i na wiarę w życie i na szacunek dla niego i na hamulce osobiste i na poczucie odpowiedzialności.

Doktrynka berlińska, o którą Przybyszewski jeszcze po śmierci się procesuje, była literaturą jarmarczną, którą się miało olśnić zacofane społeczeństwo polskie. Konflikt powstał z tego powodu, że Przybyszewski zlekceważył kulturę polską. To, co się stało w Krakowie z Przybyszewskim, istotnie przypomina anegdotę Gogola o rewizorze z Petersburga. Przybyszewski przyznaje się do chwili, kiedy się wstydził swojej roli. Nie zapiera się nawet kuglarstwa, które przypisuje „niesamowitości", właściwej owym dawnym magom. Bywali między niemi twórcy, ale

„klątwa robiła z nich głośnych awanturników, szalbierzy i mataczników, którzy jak dzisiejsze media, gdy ich siły się wyczerpią, nie wahali się posługiwać sztuczkami jarmarcznych kuglarzy" (67).

Alkoholizm, który Przybyszewskiego robił stałe człowiekiem pozażyciowym, jego zdaniem, był potrzebą jego istoty metafizycznej. Rozprawa na kilku kartach o znaczeniu alkoholu, należy do najciekawszych ustępów w książce. To zboczenie fizyczne było odpowiednikiem i utwierdzeniem zboczenia duchowego od zatrucia fałszywą doktryną niemiecką. Oba te czynniki razem zabiły w Przybyszewskim zmysł prawdy. Nie znam książki, w której twierdzenia tak luźny miałyby związek z rzeczywistością, jak te wspomnienia Przybyszewskiego. Pióro chodzi mu w zupełnie dowolnych kierunkach pod nakazem względów zewnętrznych, nie krępowane żadnym skrupułem moralnym.

Jeśli o ten brak skrupułu w dziedzinach „rozumu praktycznego" chodzi, mogę przytoczyć ustęp z rozdziału, poświęconego rodzinnej Wielkopolsce:

„Poznańskie wypiera się tego wpływu (pruskiego), mocą swego materjalnego bogactwa chełpi się tem, że jest fundamentem Polski, — pokryjomu, pocichu, ale niemniej silnie nurtują w Poznańskiem antypaństwowe prądy; Poznańskie chciałoby stanowić odrębną Polskę, a co najmniej zostać autonomicznem państwem w państwie". (s. 11).

Gdybym nie tłumaczył takiego zjawiska zatratą zmysłu dobra i zła, prawdy i fałszu, musiałbym to kalanie gniazda nazwać sprzedawaniem swego pierworództwa za tę odrobinę soczewicy, jaką przyniosło schlebianie sferom wpływowym (które tych kamieni na Poznańskie szukają) — w postaci pensji i orderów. A jaką karykaturę robi z człowieka myślącego posunięta do absurdu metapolityczność i metamoralność metafizyczna, znajdzie się odrażający przykład pod koniec książki, gdzie Przybyszewski, nawet bez poczucia dobrego smaku literackiego, puszcza się na metafizyczne koncepty co do pochodzenia Orkana i Kasprowicza. Wulgaryzując zasłyszaną od Lutosławskiego teorję reinkarnacji, w pustych frazesach usiłuje narzucić polskiemu umysłowi pogląd, że ci poeci znaleźli się wśród ludu przypadkiem: „dusza jakiegoś wielkiego mocarza raczyła sobie za gościnę obrać chłopską lepiankę..."

„Nadeszła chwila, gdy Król Duch, z królewskiego rodu Piastów się wywodzący, zapragnął wywieść najwięcej uciemiężoną, z bydłem roboczem zrównaną warstwą społeczeństwa do godności człowieczej" itd.

Jeszcze dobrze, że z Piastów (ale skąd Piastowie powstali?), bo w zasadzie każdy „mocarz" ducha niemieckiego może nasze „bydło" nawiedzać i prowadzić. Nie trzeba dowodzić, że stanowisko takie pod względem wartości myślowej godne jest literatury jarmarcznej, a pod względem moralnym jest zaprzaństwem b. socjalisty, sprzedawaniem pierworództwa ludowego. Nie trzeba wreszcie dodawać, że Przybyszewski nie miał nic wspólnego z rozkwitem literatury w okresie t. zw. Młodej Polski.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

UWAGI Z POWODU WYNIKU PROMOWANIA UCZNIÓW

W ROKU ubiegłym, z okazji opracowania przez władze szkolne zestawień statystycznych na Powszechną Wystawę Krajową, żywsze zainteresowanie w fachowych sferach pedagogicznych wywołała kwestja t. zw. drugoroczności, czyli powtarzania klas przez dzieci w szkołach powszechnych.

Mając do dyspozycji cyfry—opracowane przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego i Radę Szkolną m. Warszawy—poświęciłem tej sprawie artykuł, ogłoszony w zeszycie VII-ym „Szkoły" [1]) i wyprowadziłem pewne wnioski natury ogólniejszej. Cyfry wówczas omówione dotyczyły tylko województwa warszawskiego i m. Warszawy.

Wiem, że sprawa ta była przedmiotem obrad na urzędowych konferencjach inspektorów szkolnych i jest obecnie przedmiotem szerszych rozważań władz szkolnych. Jest to sprawa wielkiej wagi. Cyfry z województwa warszawskiego mówią, iż procent dzieci niepromowanych, a zatem zmuszonych do powtarzania klas był w r. 1927/28 bardzo wysoki: wynosił on w szkołach wiejskich od 10 do 37% (przeciętnie 24), w szkołach miejskich od 11 do 24% (przeciętnie 20%); w szkołach miasta Warszawy procent ten wynosił przeciętnie dla chrześcijan 24,2, dla żydów 18,9, w budynkach własnych 24,9, w budynkach wynajętych 22, w oddziałach rannych 21,6 w oddziałach popołudniowych 25,1.

Obecnie mamy ogłoszone cyfry dla całej Polski [2]), a to dla szkolnictwa powszechnego za rok 1927/28, dla szkolnictwa średniego i szkół nauczycielskich za rok 1926/27 i dla szkolnictwa zawodowego za rok 1927/28.

Postaram się na podstawie tych cyfr urzędowych dać obraz stanu rzeczy w całej Polsce i we wszystkich kategorjach szkół, oraz spróbuję z cyfr wyprowadzić wnioski o stanie naszego szkolnictwa.

Społeczeństwo musi się tą sprawą interesować, gdyż nie jest to rzecz drobna, w ilu latach dziecko kończy daną szkołę, — każdy rok w życiu człowieka ma wielką wagę społeczną.

1. Szkolnictwo powszechne.

Liczba uczniów w końcu roku szkolnego 1927/28 w szkołach publicznych i prywatnych wynosiła — 3.117.595 (w tem prywatne 92.934), z tej

---

[1]) „Szkoła" z. VII z r. 1929: „Sprawa powtarzania klas przez dzieci szkół powszechnych"—str. 196 do 200.

[2]) Patrz „Wiadomości Statystyczne G. U. S."—zeszyt I z r. 1930.

liczby promowano do oddziału następnego 2.318.419, niepromowano 799,176; ilość niepromowanych wynosiła więc przeciętnie dla całej Polski 25,6%.

A zatem, co czwarte dziecko nie otrzymało promocji, straciło rok życia, strata wszystkich wynosi około 800 tysięcy lat. Proszę pomyśleć 800 tysięcy lat życia ludzkiego. Ponieważ kształcenie 1 dziecka kosztowało skarb państwa około 70 złotych rocznie [8]), nie licząc tedy wydatków samorządów i rodziców, samo państwo wydało na te dzieci nadarmo około 56 miljonów złotych. Gdybyśmy przyjęli, że wydatki samorządów i rodziców na kształcenie dziecka wynoszą tylko 1/4 wydatków państwa, to dojdziemy do straty około 70 miljonów rocznie. Przy naszych zasobach materjalnych jest to suma wprost kolosalna i ona najdobitniej przekonać powinna sfery decydujące, iż problem drugoroczności w naszych szkołach zasługuje na jaknajżywszą uwagę.

Trzeba obmyśleć sposoby zredukowania tego zła i to jaknajrychlej. Współczesna pedagogika ma już pewne zdobycze w tej dziedzinie, należy je zatem zastosować i u nas.

Cyfry niepromowanych dzieci dla każdego oddziału dają możność dokonania ciekawych, wprost sensacyjnych, obliczeń. Oto, gdyby przyjąć ilość niepromowanych w r. 1927/28 jako stałą, na okres siedmioletni, to z rachunku prostego wynika, że na 100 dzieci zapisanych do pierwszego oddziału, kończy szkołę powszechną, w normalnym okresie siedmioletnim, przeciętnie zaledwie 16, w miastach cyfra ta podnosi się do 19, na wsi spada do 15, zaś w szkołach pełnych siedmioklasowych wynosi 18,5.

Reszta dzieci gubi się, to znaczy powtarza klasy poszczególne, a najczęściej po 7 latach, kończąc wiek szkolny, opuszcza szkołę bez wyczerpania programu.

Dla porównania podaję oddziałami w pierwszym wierszu procent niepromowanych, w drugim zaś liczbę uczniów przechodzących normalnie z oddziału do oddziału, przyjmując dla pierwszego oddziału liczbę 100, osobno dla szkół całej Polski i osobno dla szkół publicznych miejskich i wiejskich.

a) Szkoły w całej Polsce:

Oddziały:	I	II	III	IV	V	VI	VII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	29,6	23,5	26,4	25,9	23,2	19,5	11,9	
Ilość uczniów przech. norm.	100	70,4	52,9	39	29	22,3	18	16

czyli na 100 uczniów I oddziału kończy szkołę w normalnym okresie 16.

b) Szkoły publiczne w miastach:

Oddziały:	I	II	III	IV	V	VI	VII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	22	19	22,7	25,2	25,3	21,5	11,8	
Ilość uczniów przech. norm.	100	78	63,2	48,9	36,6	27,4	21,5	19

czyli ilość kończących szkołę w normalnym okresie wynosi 19.

c) szkoły publiczne wiejskie (7 kl.).

Oddziały:	I	II	III	IV	V	IV	VII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	22,7	19,4	23	25,5	35,7	26,8	21,1	
Ilość uczniów przech. norm.	100	77,3	62,2	47,9	35,7	26,8	21,1	18,5

czyli kończących normalnie szkołę 18,5.

Śledząc spadek i podnoszenie się procentu niepromowanych w poszczególnych oddziałach, dochodzę do potwierdzenia wniosków, wyprowadzonych w tej sprawie na podstawie cyfr dla województwa warszawskiego i miasta Warszawy [4]).

Oto w drugim oddziale spada procent niepromowanych, następnie w trzecim oddziale wzrasta gwałtownie i urzymuje się na wysokim poziomie w czwartym i piątym oddziale, poczem w szóstym i siódmym spada w dół. Linja krzywa różni się w szkołach miejskich i wiejskich na niekorzyść tych ostatnich.

Pozwoliłem sobie zaryzykować twierdzenie i podtrzymuję je obecnie, że powód tego stanu rzeczy leży przedewszystkiem w programie. Dzieci nie mogą sobie dać rady z materjałem naukowym, który jest za trudny i nie dostosowany do poziomu rozwoju umysłowego w szkołach powszechnych.

Program ten należy zreformować jak najrychlej.

Pozatem należy pomyśleć o zmianie okresów klasyfikacyjnych i o doborze uczniów poszczególnych oddziałów według uzdolnień.

Znany pedagog warszawski, p. Wojciech Górski, wprowadził w swojej szkole ustrój semestralny, to znaczy promowanie uczniów w jego szkole odbywa się co pół roku, a nie co roku; system ten zmniejsza szkodę wynikającą z drugoroczności do połowy, bo dziecko niepromowane traci pół roku a nie cały rok, jak w szkołach publicznych.

Tworzenie oddziałów na zasadzie doboru uczniów o zbliżonym poziomie uzdolnień umysłowych: mniej zdolnych, średnio zdolnych, i najzdolniejszych jest obecnie również praktykowane na zachodzie, u nas zaczęło się w tym kierunku cośnie-coś zaledwie robić w niektórych miastach. Oczywiście wynika z tego, że i program nauki winien być zróżniczkowany, a nie tak jednolity jak obecnie.

(Dok. nast.) JAN KORNECKI

[8]) Według zamknięć rachunkowych—wydatki Skarbu Państwa na szkolnictwo powszechne, razem z nadzorem wynosiły 214.895.513.

[4]) Patrz j. w. mój artykuł w numerze VII „Szkoły" z r. 1929.

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA O WALTERZE PATERZE

DOWODEM żywotności naszej anglistyki, która wśród nauk neofilologicznych pierwsze zdobywa sobie miejsce, jest szereg poważnych publikacyj z tej dziedziny, w takiej obfitości pojawiających się ostatniemi czasy na półkach księgarskich. Obok dzieł o treści ogólniejszej — z Tarnowskiego „Literaturą angielską" i Dyboskiego książką „O Anglji i Anglikach" na czele — otrzymaliśmy w ciągu kilku zaledwie miesięcy sporo prac o zakresie bardziej specjalnym Do nich należą nietylko szkolne — niemniej jednak cenne i na poziomie naukowym stojące — opracowania dzieł Byrona, Szekspira i Scotta, podjęte przez prof. Tretiaka i prof. Helsztyńskiego w „Bibljotece Narodowej" i „Wielkiej Bibljotece", ale i monografje, zajmujące się życiem i twórczością poszczególnych pisarzy. W druku znajduje się, a ukaże się

podobno niebawem monografja Tretiaka o Byronie, czeka druku — trzecia po pracach Pinińskiego i Dyboskiego — polska monografja o Szekspirze, którą opracował Tarnawski. Rozgłosu szerokiego ze względu na nową metodę pracy nabrała rzecz Borowego o Chestertonie (Kraków, Spółka Wydawnicza), ze względu na zalety literackie uznanie powszechne sobie zdobyła biografja czy powieść o Oskarze Wilde („Król życia") napisana przez Parandowskiego.

Do zastępu monografistów — reprezentowanego przez nazwiska głośne, a dla literatury i nauki naszej zasłużone — przystąpił także i młody badacz poznański, syn wybitnego profesora - polonisty, dr. Zbigniew Grabowski, ogłaszając obszerne studjum o znakomitym *essay*'iście i krytyku doby wiktorjańskiej, Walterze Paterze [1]). Doba wiktorjańska mało dotąd w Polsce miała badaczy i sprawozdawców (bodaj że tylko jeden Dyboski intensywniej nią się zajmował, to też i zrozumiała i chwalebna jest skwapliwość, z jaką autor wziął się do tego nowego niemal tematu, na większą zaś pochwałę zasługuje pracowitość i sumienność, z jaką zadanie swe wypełnił. O wielkiem czytaniu i znajomości odnośnej literatury świadczy długi indeks bibljograficzny, zamieszczony na końcu książki. Rzecz uderzająca, że w tej tak ilościowo pokaźnej literaturze paterowskiej brak było dotychczas rzeczy zasadniczej: wyczerpującej monografji. Były jedynie impresje lub anegdotyczne biografje oraz sporo przyczynków, nie ukazujących autora „Marjusza Epikurejczyka" w pełnem oświetleniu. O wszechstronne ujęcie tematu pokusił się dopiero Grabowski, który też ze słuszną dumą zaznacza we wstępie do swej książki: „Praca niniejsza jest pierwszą monografją krytyczną o Walterze Paterze, starającą się zobowiązać zarówno jego życie, jak i twórczość literacką oraz krytyczną".

Już z tego względu praca Grabowskiego godna jest uwagi. Atoli i to wspomnieć się godzi, że jej „pierwszyzna", jak autor sam lojalnie zaznacza, miała już niejako swą zapowiedź i na gruncie polskim pod postacią studjum o Paterze, zamierzonego ongi przez Brzozowskiego. Szczęśliwy traf zrządził, że obecna książka o Paterze ukazała się niemal współcześnie ze wspomianem już *essay* czy powieścią Parandowskiego o Wildzie Dwaj ci pisarze wiktorjańscy — Pater i Wilde — mają z sobą wiele cech wspólnych, a oddziaływanie teoryj i pism Patera na życie i twórczość Wilde'a jest rzeczą znaną. W ten sposób pożyteczną jest rzeczą przeczytać obie książki jedną tuż po drugiej, bo pozwoli nam to lepiej wniknąć zarówno w psychikę i dzieło obu wiktorjanistów, jak też w nastroje, dążenia i właściwości całej ówczesnej epoki.

Tłem tej epoki zajął się Grabowski obszernie w rozdziale pierwszym swej książki. Być może, że zajął się niem nieco nazbyt obszernie, skoro każdemu niemal pisarzowi ówczesnemu, począwszy od jeszcze Carlyle'a, poświęcił spory ustęp. Tę skłonność do dodania szerokiego tła można było zauważyć już w szkicach o Conradzie i w innych dawniejszych pracach Grabowskiego. W danym wypadku nie uważam tego za wadę kompozycyjną, owszem za mocny fundament, na którym z wielką konsekwencją wspierają się dalsze obserwacje i wywody autora. Oto co mówi on sam: „Walter Pater lubił powtarzać o sobie, że stoi w swojem pokoleniu „odosobiony jak kolumna" *(columnar)*. Jego wysiłek stylistyczny jest istotnie niemal że jedyny w swoim rodzaju, odrębny, oryginalny. Natomiast jeśli chodzi o kierunki jego myśli, jego poglądy, postawę i nastroje, to nie są one bynajmniej odosobnione, ale łączą się licznemi nićmi z pewnemi myślami, które podejmują i inni pisarze". Nadmienię, że takie szerokie uwzględnienie tła może być z pożytkiem dla wielu czytelników, ponieważ nazwiska wielu pisarzy wiktorjańskich niedostatecznie są jeszcze u nas znane.

Po naszkicowaniu bliższego tła — t. j. warunków, wśród których upłynęła młodość Patera, wskazuje Grabowski, jak refleksy tych wrażeń domowych, młodzieńczych odbiły się z czasem na twórczości pisarza, poczem przechodzi kolejno dzieje samej twórczości, wyróżniając cztery jej zasadnicze momenty. Pierwszym z nich jest okres powstania *„Diaphanéité"*, *„The Renaissance"* i innych szkiców krytyczno-estetycznych; drugi moment stanowi studjum-powieść *„Marius the Epicurean"*, trzeci obejmuje słynne, a tak w swym wyrazie odrębne *„Imaginary Portraits"*, czwarty — u schyłku życia i twórczości — zaznacza się studjami krytycznemi *„Platon and Platonisin"* oraz *„Greek studies"*. W drugim i trzecim momencie napięcie twórcze Patera dosięga swego *maximum*, przekraczając miarę tak częstego w Anglji *essay*'u, a stając w jakiejś nowej dziedzinie, która na polu powieści— do do tej formalnie „Marjusz" się zalicza — jest zjawiskiem na owe czasy zgoła odrębnem. Wartoby to piękne dzieło przełożyć godnie na język polski, możnaby wówczas snuć pewne paralele z nieco młodszem od niego *„Quo vadis"*, które przy zupełnej niezależności od „Marjusza", zbliża się doń i tłem dziejowem i postacią swego bohatera estety, Petronjusza.

Jeżeli używane przez Patera porównywanie własnej twórczości do „osamotnionej kolumny" było nieścisłe, gdy szło o generację nieco starszych i rówieśnych mu pisarzy to jeszcze mniej zawierało prawdy, gdy zważyć wpływ twórcy „Sebastjana van Storcka" na generację następną. Zajmuje się tą sprawą Grabowski — z konieczności nieco pobieżnie — w zakończeniu rozdziału ostatniego, zawierającego ogólną charakterystykę stylu i rodzaju twórczości pisarza oraz streszczenie jego poglądów. Mam wrażenie jednak, że *„aesthetic mouvement"* to nie jedyny plon myśli Patera, — że myśl ta sięga poza Wide'a, Moore'a, i Symonsa. Zapewne zdaje sobie z tego sprawę sam monografista, skoro rzuca mimochodem nazwiska niektórych pisarzy irlandzkich. U tych pisarzy wiele dążeń i teoryj estetycznych (zwłaszcza gdy chodzi o pejzaż i kolorystykę) jest jakby przejętych z Patera. O tem jednak zapewne szerzej i umiejętniej odemnie napisze kiedyś sam autor omawianej książki, zagłębiający się już od lat kilku w literackiej puściźnie „celtyckiego odrodzenia" i przygotowujący monografję o czołowym pisarzu tegoż „odrodzenia" — John'ie M. Synge.

JÓZEF BIRKENMAJER

[1]) Zbigniew Grabowski, Walter Pater, życie — dzieło — styl. Poznań 1929. Nakładem Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Skł. Gł. w Księg. Jana Jachowskiego w Poznaniu.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Dn. 25 maja r. b. polski świat naukowy obchodził uroczyście pięćdziesięciolecie pracy wielkiego uczonego i pisarza prof. Tadeusza Zielińskiego. Znakomity znawca świata antycznego i jego religji zbyt wybitne zajmuje stanowisko w nauce polskiej i światowej, ażeby zachodziła potrzeba przypominania sferom oświeconym jego zasług. Należy przytem do tych wyjątkowych uczonych, których dzieła czytane są nietylko przez nieliczne grono specjalistów, ale przez szerokie koła inteligencji polskiej, w wysokiej mierze wpływając na kształtowanie się jej pojęć i poglądów (np. „Hellenizm i judaizm").

„Myśl Narodowa" przyłącza się do hołdu, składanego prof. Tadeuszowi Zielińskiemu przez przedstawicieli nauki polskiej i zagranicznej, życząc mu długich lat dalszej i owocnej pracy na chwałę imienia polskiego, na pożytek wiedzy i myśli badawczej.

*

W roku bieżącym przypada dwudziestolecie śmierci Felicjana Medarda Faleńskiego (ur. 5 czerwca 1825 r. — zm. 11 października 1910 r.). Zamieszczamy w obecnym zeszycie „Myśli Narodowej" niedrukowany dotąd nigdzie, nieznany fragment jego pięknych przekładów z „Ksiąg Starego Zakonu", pragnąc jednocześnie zwrócić uwagę na zbliżającą się sposobność uczczenia znakomitego, a niesłusznie za życia i po śmierci zapominanego poety.

RUCH WYDAWNICZY

Nakładem Jakóba Mortkowicza wyszedł w pięćdziesiątą rocznicę pracy profesorskiej Tadeusza Zielińskiego wspaniały tom bogato ilustrowanego jego dzieła „Świat antyczny“ p. t. „Starożytność bajeczna“. Recenzję o tej pięknej książce zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

*

W ostatnich dniach ukazały się dwie interesujące nowości: „Młyn w Bożej Woli“, powieść Wandy Miłaszewskiej oraz „Barwy i dźwięki“, zbiór poezyj Anny Słonczyńskiej. Obie te książki będą wkrótce na łamach „Myśli Narodowej“ omówione obszerniej.

*

Wspomnienia, zmarłej niedawno Marji z Przezdzieckich Walewskiej „Polacy w Paryżu, Florencji i Dreznie“ z przedmowa Michała Sokolnickiego, świeżo wydała księgarnia F. Hoesicka. Autorka znaną była w artystycznych kołach Warszawy ze szczerego zamiłowania literatury i malarstwa, a jak widać z tej jedynej jej książki, posiadała talent literacki. Cenną zaletą tego talentu była tkliwa i wrażliwa pamięć zdarzeń z lat najwcześniejszych. W czasie dzieciństwa i młodości autorki, po tragedji dwóch powstań, wiele narodowo czujących rodzin ziemiańskich zamieszkało zagranicą. Pełne osób o historycznych nazwiskach były stolice państw zachodnich, a szczególnie Paryż, Florencja, Drezno i Rzym. Wiadomo jak ważną rolę polityczną w życiu emigracji odegrał salon Czartoryskich w Paryżu, ale nie mniej każdy z znaczniejszych domów polskich w Dreznie i Florencji odzwierciadlał nastroje ówczesnej polskiej umysłowości. Pióro Walewskiej cechuje trafna charakterystyka postaci, przesuwających się przez karty książki. Najlepiej nakreślone są sylwety Krasińskiego, Odyńca, Lenartowicza i Delfiny Potockiej. Wspomnienia o Kraszewskim, Chopinie. Ujejskim, jak i wogóle cała atmosfera tułaczych na obczyźnie przeżyć towarzyskiej sfery autorki, doskonale są przedstawione, z typową romantyzmowi egzaltacją.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Gabriel de La Rochefoucauld, który wydał już szereg studjów historyczno-literackich, jest również autorem *„L'Homme qui perd la vue“*. Publikuje zaś on obecnie *„Le Vol Nuptial“* (Editions de France). Fernand Maurillac należy do starej burżuazji francuskiej, wychowanej w dawnych tradycjach. Z tego samego środowiska pochodzi i Helena Renouard, jego kuzynka. Podczas, kiedy jednak Fernand pragnie założyć domowe, spokojne ognisko, Helena żądna jest przedewszystkiem szerokiego życia, emancypacji. To też Fernand waha się ze swemi oświadczynami. Helena jednak na nie czeka. Udaje się bowiem do Deauville, poznaje tam amerykańskiego miljonera, poślubia go i używa życia, dzięki dolarom. Wkrótce zostaje wdową, a potem decyduje się na wyjście za mąż za uszczęśliwionego Fernanda, który wiernie ją kocha. Ten stara się w żonie zwalczać jej płochoć i czcze, światowe życie. Wszystko jednak nadaremnie. Przychodzi wojna. Helena w pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że Fernand wart jest lepszej i głębszej z jej strony miłości. Postanawia też zmienić swój do niego stosunek. Mąż jednak jej zostaje zabity pod Verdun, a jego wdowa po upływie żałoby wyjdzie po raz trzeci za mąż za niezmiernie ograniczonego człowieka, który nie był obojętny na miljony Heleny. Prowadzi ona na Wybrzeżu Lazurowem życie puste w otoczeniu pseudo artystów i całego podejrzanego świata międzynarodowego. Helena zmarnowała wszelkie dary natury, nie wykorzystała wypadków, zachowując sobie może na ostatnie lata smutny rachunek sumienia ze źle przeżytej egzystencji. P. de La Rochefoucauld z dużą bystrością odmalowuje stany duchowe swych bohaterów, ich psychologję, a odnosi się do nich z krytycyzmem, a nieraz także ironją, jak na to rzeczywiście często zasługują.

*

W Bułgarji daje się zauważyć dążenie do pogłębienia współczesnej kultury narodowej pierwiastkami tradycyjnej pieśni ludowej. Staraniem sofijskiego Muzeum etnograficznego zbierane są obecnie po całym kraju stare pieśni, których ilość wynosić ma 40.000 okazów. Będą opublikowane w dziesięciu tomach, z których dwa pojawiły się już w druku. Pieśni te, sięgające nieraz do czasów wczesnego średniowiecza, mają uczuciowo i duchowo odświeżyć dzisiejszy kierunek umysłowości bułgarskiej.

SZTUKI PLASTYCZNE

TRZY SFERY

Pod różnemi kierunkami sztuki i objawami jej, zbiórowemi lub jednostkowemi, niby pod kręgami, skrętami, zatoczami i wirami powierzchni rzek, płyną prądy głębsze i trwalsze, które ujmujemy zazwyczaj w określenia, związane z całokształtem danej kultury, jako jej epoki historyczne. Ten większy podział oparty jest na biegu czasu, na młodości, dojrzałości, starości ras, narodów i społeczeństw. Ponieważ objawienie się ducha rasy lub narodu nie zawsze odrazu ogarnia całość danego tworzywa ludzkiego, nie zawsze całemu społeczeństwu wyraz daje, bywają tu przesilenia i młodości powtórne, a bodaj i wielokrotne, a to tembardziej, że i narody z wielu przyczyn rozmaitym przemianom podlegać mogą. Pod temi prądami płyną właśnie najważniejsze nurty głębinowe sztuki, niesione przez wspólny, wielki nurt każdego zosobna narodu. Stąd też najbardziej rzeczowym, bezpośrednio do wiedzy i wyobraźni człowieka przemawiającym, przedmiotowo uchwytnym i prawdziwym, a zarazem syntetycznym podziałem sztuki jest podział według narodów. Co też i historja sztuki i praktyczna logika myślenia stale stosują.

Gdy mówimy „sztuka japońska“, albo — „asyryjska, egipska, hinduska, chińska, grecka“ i tak dalej, to za każdym razem i w wyobraźni i w umyśle powstaje zwarty, określony i odrębny obraz tej czy owej sztuki, nie statyczny, ale dynamiczny, na pewnym skrawie czasu, jak na taśmie filmu kinowego rozwijany i sam w sobie logiczną i żywą całością będący. Jest on ścisłym, chociaż cząstkowym odpowiednikiem historji danego narodu. Biegną tu wzdłuż kolejno różne okresy sztuki, jej epoki, wzniesienia, upadki i znowu wzniesienia, mijają i przemykają różne kierunki i talenty, ale całość jest jednolitym, doskonale zbudowanym dramatem. Jest to dramat narodu. Bez istnienia wielu odrębnych i samoistnych narodów życie pozbawione byłoby wspaniałości, bogactwa i uroku, jakie ma i mieć może. Gdyby nie było stu innych argumentów, ten setny pierwszy przemawia w sposób wystarczający na korzyść istnienia różnorodnych narodów, ich granic i udzielności. Poza temi jednak kierunkami doraźnemi sztuki, poza jej prądami historycznemi i nurtami narodowemi, wyróżnić należy pewne przekroje, ze tak się wyrażę, poprzeczne, nie według czasu, ale statycznie i przestrzennie, jak one same się układają, pojęte, a w każdej sztuce każdego narodu i czasu istniejące. Są one czemś w rodzaju trzech sfer, w których sztuka stale się obraca, w rodzaju trzech elips, po których dokoła nieznanego słońca krąży. Można je z korzyścią dla wiedzy ogólnej wyodrębnić, jakkolwiek, tak zresztą, jak we wszystkich życia zjawiskach, często one nawzajem się przenikają i w różnem stopniowaniu ze sobą się łączą. Dla wyodrębnienia trzeba je nazwać, bo chociaż każdy człowiek, o sztuce myślący, wyczuwa je, a czasem zna świadomie, póki nie są nazwane, póty niemal nie istnieją. Dwie dla dwóch sfer nazwy znajdują się już od pewnego czasu w nieustannym obiegu mowy potocznej i naukowej. Mianowicie — naturalizm i realizm, chociaż nie zawsze łączone w pierścień sfer, o których tu mówię. Trudności znaczne napotkałem w znalezieniu nazwy na trzecią sferę. W braku lepszej biorę słowo „ideizm“ od „idei“, a w odróżnieniu od „idealizmu“, który, zresztą, jest już przez filozofję — „zajęty“.

Te trzy sfery — ideizm, realizm i naturalizm — w ramach obszernych, ale rzeczowo wypełnionych, mieszczą w sobie wszystkie zjawiska sztuki i wszystkie talenty, a pomimo uogólnienia swego nie chaotyzują ich w puste ogólniki, lecz charakteryzują w sposób dla myślenia dogodny, z istotnym stanem sztuki zgodny, do wielu zastosowań się nadający i do wielu wniosków pouczających samorzutnie zdążający. Nie

wszystkie je tu w szczupłym szkicu zdołam wyprowadzić, ani nawet wymienić. Ograniczę się do zasadniczego tylko postawienia sprawy, łatwej już dla rozwinięcia.

Naturalizm jest sztuką analitycznie przedmiotową. To jest dla niego określenie najkrótsze i najdobitniejsze. Naśladuje i kopjuje przyrodę, czyli naturę, nie dorzucając niczego od siebie, od artysty. Podmiot w nim niemal nie istnieje, bo tylko w drobnych, mimowolnych strzępach, fizjologicznie koniecznych, bez udziału duszy i woli artysty w dziele się ujawnia. Można go przeto nie liczyć. Istnieje w nim tylko przedmiot, do ścisłego skopjowania służący. Realizm jest sztuką syntetycznie przedmiotową. W nim już, z powodu obecności syntezy, zjawia się i dusza i wola artysty, lecz obie w granicach przedmiotu zamknięte, myślą objektywną pilnie kontrolowane i posługujące się syntezą prawie do naukowej zbliżoną metody. Ideizm jest sztuką podmiotową, dla której prawem najwyższem jest objawienie się ducha artysty, a przedmiot — tylko oparciem i środkiem porozumienia.

Z ogólnej i jak sądzę, słusznej charakterystyki powyższej to przedewszystkiem pod oczy się nasuwa, że istnieje w tych trzech sferach sztuki z istoty ich płynące stopniowanie siły i samodzielności artysty. Naturalista jest niewolnikiem przyrody, realista — jej współpracownikiem, ideista — jej władcą. Dla jasności stawiam sprawę schematycznie, w kategorjach czystych, które, jeśli w życie wcielone istnieją, są wyjątkami. W praktyce należy to tak rozumieć, że każda z tych kategoryj ma tylko mniejszą, lub większą przewagę jednej z trzech sfer, a z dwiema innemi w różnym stopniu jest pomieszana. Czasem jednak przewaga owa—nie ilościowo, ale pod względem siły sugestyjnej tak przysłania domieszki, że one nikną z pola widzenia, słyszenia i odczuwania odbiorcy sztuki.

Który z tych trzech typów, która z trzech sfer znajduje się najbliżej najgłębszego nurtu sztuki, nurtu narodowego? Rzecz jasna, że ideizm. Silny duchem i wolą artysta jest tworem zbiorowego, wieki trwającego i w jedną harmonję ujętego doboru sił, co stać się może tylko w łonie narodu. Bywa niekiedy, że jest on jakby tylko bezwolnem medjum narodu, a przejawia się to szczególnie w chwilach natchnienia, w stanie powstającego pierwszego zarysu dzieła sztuki, które w sposób nie dający się pojąć rodzi się, wybucha raczej, w ogniach i dymach, przewyższających miarę jednostki—poza jej wolą, umysłem i świadomością. Realizm ze swoim nakładem rozmysłu, nauką i syntezowaniem, ze swoją czcią dla przedmiotu—w stopniu mniejszym dziedziczy ducha narodu. Trzeba tu jednak uczynić zastrzeżenie dla realizmu wykonania — w przeciwstawieniu do realizmu poczynania. Istnieją dzieła sztuki, bywają to arcydzieła, jak naprzykład „Pan Tadeusz“, w których artysta dotarł do tak wspaniałej równowagi obu sfer, że naprzemian jedna drugą zlekka przysłania—zależnie od punktu widzenia — i niewiadomo napozór która którą rządzi: ideizm realizmem, czy też odwrotnie? Psychologja może zapewnić, że pierwsze miejsce ma zawsze w takim wypadku ideizm, jako rycerz, dla którego realizm jest tylko zbroją idealnie przypasowaną i idealnie posłuszną. Co do naturalizmu, to jest on sztuką międzynarodową, w trwodze swej wobec przyrody—woli i ducha pozbawioną.

Dochodzimy do wniosku, że tylko sfera ideizmu jest twórcza, ona tylko wnosi do realizmu twórcze pierwiastki jego syntezy. Realizm i naturalizm odgrywają w dziejach sztuki role podrzędne: pierwszy, jako metodologja wykonania, oraz dobroczynna spona pomiędzy podmiotem a przedmiotem, drugi jako (z konieczności...) analityk, rozkupujący twarde gleby przyrody, często błędami swemi ostrzegający przed niemożliwością i niebezpieczeństwem. Z jego biednej nauki korzystają jednak obie sfery wyższe. Od tego wniosku mamy już tylko jeden krok w bok — do stosunków, obecnie w sztuce polskiej panujących. Pomińmy sztukę kryptożydowską, ten najazd chlewów chederowych, przez polskie M. O. i W. R. premjowanych. Pomińmy również jej różowy przychówek prosięcy pochodzenia polskiego. Rzućmy tylko okiem na niezależną sztukę czysto polską z dziedziny plastyki i poezji. Ogromna większość utworów—to naturalizm z pewnemi tu i ówdzie wysiłkami w kierunku syntez realistycznych. Znakomita mniejszość — to realizm z domieszkami naturalizmu. Wyjątki tylko idą za głosem ideizmu, ale przez zbytnią gorliwość, albo złe zrozumienie sprawy zanadto lekceważą realizm. Wszystko razem znamionuje przygaśnięcie kultury i ducha.

Niema jeszcze w tem powodu do biadań nad upadkiem sztuki. Może to jest tylko pauza chwilowa, do której każda dziedzina ma prawo. Sztuka korzysta z urlopu. Ale niesłusznie czynimy, gdy na bezrybiu każdego raka do wielorybich godności wydymać usiłujemy, jakoby dla ratowania pozorów i honoru domu. Analiza krytyczna ze swoich lupich perspektyw bez transpozycji czyni teleskopowe, z pyłków w atmosferze zbłąkanych gwiazdy fotografuje, a gwiazda, jak wiadomo, jest najczęściej słońcem dalekiem..., w połysku świetlika czerwcowego w krzaku parkowym upatruje blady świt nadchodzącej zorzy porannej. W wyniku tej metody analiza krytyczna sama siebie w ślepe prowadzi zaułki, a z biegiem niewielu (nawet) lat takie na swojej głowie łysej nagromadza śmieszności i kłopoty, że chyba kabaretowym dowcipem je strząśnie, co nie godzi się z jej godnością, albo liczyć musi na polskie poczciwe zapomnienie ludzkie. Lecz razem ze swemi gaffami i błędami sama krytyka do lamusa zapomnień w końcu powędrować musi. Niechże ją tam myszy litościwe prędko a dokładnie do białych kostek obgryzą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

Ś. P. FELIKS CHWALIBÓG

W KIELCACH zmarł wybitny i zasłużony pisarz, ś.p. Feliks Chwalibóg. Urodzony w r. 1866 w Jurkowie, studjował filozofję na uniwersytetach w Krakowie i Lipsku. Po licznych podróżach, z których ogłaszał interesujące wrażenia, osiadł w Kielcach, redagując do r. 1915 „Gazetę Kielecką“. Po wojnie światowej często umieszczał artykuły literackie, fejletony i nowele w „Gazecie Warszawskiej“ i innych dziennikach narodowych. Wydał osobno dwa tomy nowel o zacięciu satyrycznem oraz kilka cyklów „Sentencyj i paradoksów“.

Zasadniczą cechą ś.p. Feliksa Chwaliboga, jako pisarza i człowieka, była — wytworność. Wyjątkowa kultura literacka, połączona z niemałą erudycją, sprawiała, iż licznym swoim studjom i szkicom, niekiedy nader przenikliwym i głębokim, potrafił nadawać szczególny, jemu jedynie właściwy wdzięk swobodnej, dowcipnej gawędy towarzyskiej. Rasowy szlachcic i ziemianin, posługiwał się też świetną, rasową polszczyzną, zarazem prostą i pełną poloru, bogatą a niewymuszoną.

Najznakomitszem i najtrwalszem dziełem ś.p. Feliksa Chwaliboga pozostanie niezaprzeczenie zbiór aforyzmów p.t. „Sentencje i paradoksy“. Oryginalnością myśli, zwartością i precyzją formy, zdołał się on w nich nieraz wznosić na poziom dorównujący arcydziełom Vauvenargues'a i La Rochefoucauld'a.

Ś.p. Feliks Chwalibóg należał do grona współpracowników „Myśli Narodowej“, gdzie — między innemi—ogłosił wiele swoich znakomitych „Sentencyj“. W zeszycie niniejszym publikujemy jedną z ostatnich Jego prac, nadesłany przezeń niedawno artykuł pt. „Arcydzieła, natchnienie i pierwiastek twórczy“.

OFENSYWA

LAWN-PENNIS-MEETING W CZERWCU

Zeszłego roku na zlocie Pennisów (*Pen-club*'ów) *an der schöenen blauen Donau* zaprosił sobie ten Kadet Bandurski cały zjazd, na przyszły rok, do Warszawy. Kohngres przyjął zaproszenie z frenetyczną aklamacją. Z czyjego upoważnienia krakowski nowelista takim się okazał z pańska gościnnym, nie wiadomo, ale ponieważ ukrytym celem tej inwitacji było uświetnienie ery panowania Marszałka Józefa, przeto kosztami, wysokiemi kosztami recepcji powinni właściwie podzielić się obaj, to znaczy p. Kaden Bandrowski i pan minister spraw wojskowych.

Idea tych *Pen-club*'ów w samym zaczątku swoim miała może nieco danych rozwojowych i cele raczej dodatnie, bo zbliżone do Zlotów Olimpijskich. W galopującem tempie atoli, szybko wszystkim poważnym członkom Assocjacji zbrzydła z tego powodu, że z fanatyczną furją rzucili się do tego semici literaccy, i opanowali instytucję doszczętnie. Dość powiedzieć, że na ostatnim zjeździe wiedeńskim, gdzie prym dzierżył Szalom Arsch, kiedy procent semitów doszedł do 90, aranżerowie i prezydjum namyślało się, czy obiadów i kolacyj nie urządziłby koszer i obrad nie prowadzić w żargonie. Sprzeciwił się tej inowacji najstanowczej p. mecenas Breiter. W każdym razie Pen-cluby są to już dzisiaj raczej *Bnai-Brith*' względnie: „*Cohncordia*“ *(ist ein litterarischer Verein in dem kein Liter — arisches Bluth fliesst)*. *Pen-Club*'ów niema ani w Paryżu ani w Rzymie no i obejdzie się. Skandynawskie i rosyjskie piśmiennictwo zrobiło swego czasu „wielką karjerę“ bez współpomocy pennisów klubowych. W obecnej fazie ten sposób czy fortel zbliżania do siebie intelektualistów różnych narodów jest już tylko czystym humbugiem. Pisarze bowiem poważni i wartościowi nie podróżują w bandach ale sami, samotni. W zjazdach Pen-ków, biorą udział już tylko wyłącznie pióra trzeciej sorty i czwartego garnituru, *melange* wyszczekanych reporterów i wygłodniałych grafomanów, łasych na wszelkie gratisówki, wytrzymałych z musu na bankietową elokwencję, przyczem płeć piękna reprezentowana bywa pono stale przez najbrzydsze pod słońcem okazy starych jędz, strzyg i meger, potwornym apetytem obdarzonych. Na ostatnim kongresie wiedeńskim „Amerykę“ reprezentował... Szalom Asz, Francję Berek Cremieux, Niemcy pp. Pinthus i Magnus, prezydował Salcman („Salten“). Jedyne nazwisko serjo, które raz się wplątało w to manjactwo i już się nie może wyplątać, to Galsworthy; na czem polega to zboczenie utalentowanego pisarza, niewiadomo.

U nas, obok Kadena, najnamiętniejszym kultywatorem tych widowisk jest Lechoń. Ten poeta istotnie marnuje się już jakby programowo, jakby po „amerykańskim pojedynku“. Z obiecującego i nam i sobie tak wiele neurastenika, w kilka lat zrobił się snob, archisnob towarzyski, kolekcjonista i obnosiciel bajek i anegdot, połykacz herbat i komplementów, nie wstydzący się przytem, w tak młodym wieku, doić z krowy rządowej mleczko złociszów bez wszelkiej ceremonji. Talent przytem powoli djabli rozdrapali, i ostał się tylko sznur, na którym przyczepił się do dychtatury jak rzep, czy jak perz. Nudzące się ministrowe i generalsze podają sobie poetę z rąk do rąk, robiąc z niego „wieszcza salonów“, zresztą trzeciej klasy. Sanacyjna „Warszawka“ wyssała go jak cytrynę i zmarnowała na glanc i na szmelc. Bezsprzeczny talent chcąc zagłuszyć wyrzuty sumienia, i ludzkiego, i artystycznego, rzucił się niby w propagandę. Wywdzięcza się Ojczyźnie i skarbowi propagandą. Że atoli nie semita, więc i nie polyglota, więc i do propagandy nadaje się tak, jak „pułkownik“ Orot na front. Takiego to właśnie, mocno szwankującego w europejskości intellektualistę wysłano na Zachód, aby agitował za licznem „obesłaniem“ warszawskiego kongresu Pen-Clubu. Jak sobie poczynał bidulek, wyspowiadał się o tem w „Expressie“, ze zgoła rozbrajającą, sztubacką naiwnością, w stylu Lejkina „Nasi za granicą“. Interwiewował „Shawa“, obiecując mu, w razie przyjazdu, wartę grenadjerską przed hotelem i audjencję u samego ministra. Obiecuje wreszcie Warszawie, że przyjadą na kongres Wells, Mann, Sigrida Undset, Valery, no i A. Gide. *Se non e vero e ben blagjato.* „Uwidim“. W każdym razie już zgłosili swój przyjazd pani Steward i pan Power, Siegfried Trebitsch (tłomacz G. B. Shawe na niemieckie), Grete Urbanitzky, autorka wierszyków o Legjonach i t. p. z literatury „nieznani żołnierze“.

Bądź co bądź atoli kongres się odbędzie, i już go odwołać nie można. Należy tedy ten zlot literacki zorganizować solidnie, estetycznie, roztropnie, nie zadużo Andregidów pchając na front. W zaproszeniach zaś ograniczyć się raczej do delegatów krain małych i wschodnich, bałkańskich i bałtyckich, nie narzucając się zbyt nahalnie grymaszącym gwiazdom z Zachodu. Nie opłaci im się przyjazd do Polski, no to darmo, niech jadą tam, gdzie *bussines.* Mowami też kongresu nie przeciążać, Marszałkiem nie zanudzać, Wieniawę pokazywać często, Halamy częściej. Do głosu zaś powinni się już zapisywać przedewszystkiem: Zdzisław Tarnowski z Dzikowa, Potoccy z Łańcuta, Baczewski ze Lwowa, baron Goetz z Okocimia; z pań tylko Rectifikacja Warszawska.

Wielopolkę na te dni należałoby osadzić za Wisłą w... „Zoologu“, jak mówią Poznaniacy.

„MICHAŁKI“ W PRADZE

W praskiej Szkole Nauk Politycznych wygłosił odczyt „profesor“, radca M. S. Z. i redaktor poważnego miesięcznika, poświęconego dyplomacji.

Aczkolwiek potem odbył się bankiet z toastami i kilkoma urzędnikami z M. S. Z., to jednak pan Sokolnicki nie zostawił po swojem *tournée* dodatniego wspomnienia. Niefortunny dyplomata, od dwóch lat coś znów bardzo aktywny i marzący o jakiejś na większą skalę karjerce, mówił tym razem o udziale Polski w wojnie światowej i to mówił trzy razy, przy topniejącej ilości słuchaczy. Ględzenie rozgoryczonego śledziennika kulminowało w apoteowaniu progermańskiego obozu, legjonów galicyjskich, Enkaenu i brygadjera. Pan Sokolnicki miał przytem taki nietakt, że całkowicie przemilczał organizacje wojskowe poza c. k. organizacjami. Nie wspomniał ani słówkiem o Bajończykach, ani o Dowborczykach ani o Legjonie Puławskim. W obecnej fazie, kiedy Piłsudczyzna tak przymila się i przypodchlebia wszystkim innym formacjom, gdy generał Konarzewski pisze korne „czistosierdeczne“ listy do Dowbora-Muśnickiego, generał Górecki wygłasza faryzejsko-patetyczne mówki przy odsłonięciu pomnika w Puławach, gdy ten pan Lipiński łasi się Bajończykom a wogóle papką, czapką i solą, orderami i rangami niewolą sobie Efialtesów Hallerczyków i Murmańczyków... pan Sokolnicki, który w r. 1914 podpisywał układy z Prusakami, wysłany teraz do Pragi *ad captandam benevolentiam* i do oblagowywania braci Słowian, popełnia taką gaffę, że przemilcza np. dywizję syberyjską, z którą czescy legjonarze byli przecież w stałym kontakcie...

Do Piłsudczyzny tedy niefortunny agent w Pradze nikogo nie przekonał i nie przekabacił. Wrażenie wogóle wywołał niemiłe, mimo wysiłków swojej sofisterji i mizdrzeń się. Poco to wysyłać takiego „niedźwiadka“ dyplomatycznego i pechowca, jeżeli się ma w M. S. Z. do dyspozycji tuzin sprytnych izraelczyków, którzyby obrabiając ten sam temat udowodnili czarno na białem nie tylko, że galicyjskie Legjony były ententofilskie, ale nawet że J. Piłsudski był i jest właściwie Hallerczykiem, Dowborczykiem i wielbicielem... Masaryka.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Oburzając się na deklaracje klubów sejmowych, poruszające kwestję odpowiedzialności p. Prezydenta, Rzplitej „Kurjer Wileński“ pisze:

„...dotychczas w Polsce niepodległej... tego rodzaju metody przez nikogo nie były stosowane. Osoba Pana Prezydenta Rzplitej w Polsce stała dotychczas i stać będzie ponad wszelkiemi walkami politycznemi“.

Oto co uniemożliwia jakąkolwiek dyskusję z publicystami obozu „sanacyjnego“: poprostu poziom moralny tych panów. Nie uważają chyba, że „opozycyjne“ wystąpienie p. Piłsudskiego przeciwko gabinetowi p. Witosa w maju 1926 r. nie było połączone z... dość nawet energicznem przeciwstawieniem się prawomocnym decyzjom Głowy Państwa. A pomimo to nie wstydzą się pisać tego, co piszą...

*

Gdy w Białej Podlaskiej publiczność, oburzona odczytem p. Kadena-Bandrowskiego o „Nowej kobiecie“, zaczęła głośno wyrażać protest przeciwko tezom prelegenta, miejscowi strzelcy, dotknięci w swoich uczuciach miłośników postępu i literackiej kultury, stanęli w obronie mówcy, wołając: „Milczeć kołtunerja!“

Wybitny krytyk, dr. Stefan Kołaczkowski, temi słowy charakteryzuje odczyty p. Kadena-Bandrowskiego: „Pan Kaden-Bandrowski, bezpośrednio po otrzymaniu nagrody — a więc nie z nędzy — jeździł po Polsce z odczytami, będącemi w istocie nieprzyzwoitą formą zbierania na siebie składek... trzymał ludzi przez półtorej godziny, nie mając absolutnie nic do powiedzenia. Byłem na tym odczycie i stwierdziłem, iż pierwszy raz w życiu spotkałem się z podobnym tupetem zabierania czasu słuchaczom“.

Ale w okresie „sanacji“ w kwestjach smaku artystycznego, kultury umysłowej, „kołtunerji“, decyduje — strzelec, ów prawdziwy Petronjusz — arbiter epoki pomajowej...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.